

LEGENDY i PODANIA
ZIEMI
GNIEWSKIEJ



LEGENDY i PODANIA ZIEMI GNIEWSKIEJ

pod redakcją
Anny Czyżewskiej

*Legenda to skarb i siła, często potężniejsza
niż historia, niż rzeczywistość.*

Witkacy

Projekt okładki, rysunki: Renata Reńska
Skład komputerowy: Marcin Toporowski

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna
im. ks. Fabiana Wierchowskiego
2006

Drodzy Czytelnicy,

oddajemy do Waszych rąk Legendy ziemi gniewskiej (część I) wydane w ramach serii „Folia terrae gymevensis”. Ziemia gniewska ma bogate dzieje, występują na niej liczne zabytki kultury, można tu spotkać interesujący świat roślinny i zwierzęcy, a także dobrze zachowany krajobraz kulturowy oraz gwarę kociewską. To wielorakie bogactwo kulturowe i przyrodnicze splatają liczne legendy. Są one tchnieniem ducha tej ziemi i ludzi, którzy przez wieki byli jej gospodarzami. Legendy tworzone przez pokolenia, związane z określonym miejscem i czasem pozwalają na bliższe i dokładniejsze zapoznanie się z tą ziemią, zapadając w pamięć szczególnie dzieciom, chociaż i dorośli słuchają chętnie niesamowitych opowieści.

Przez wiele lat osobiście zbierałem legendy i podania z ziemi gniewskiej oraz poznawałem te, które dotyczą innych regionów. Mój profesor Stanisław Mielczarski zachęcił mnie do zbierania legend, podań, wierzeń i nazw oraz do wykorzystywania ich jako źródła historycznego. W czasie wieloletniej pracy w szkole oraz na obozach i

wycieczkach opowiadałem moim uczniom znane mnie legendy i podania. Wtedy zauważyłem jak one ułatwiają poznanie dziejów i kultury miasta, wsi czy regionu. Jak uczuciowo łączą młodzież z miejscem, w którym żyją lub poznają.

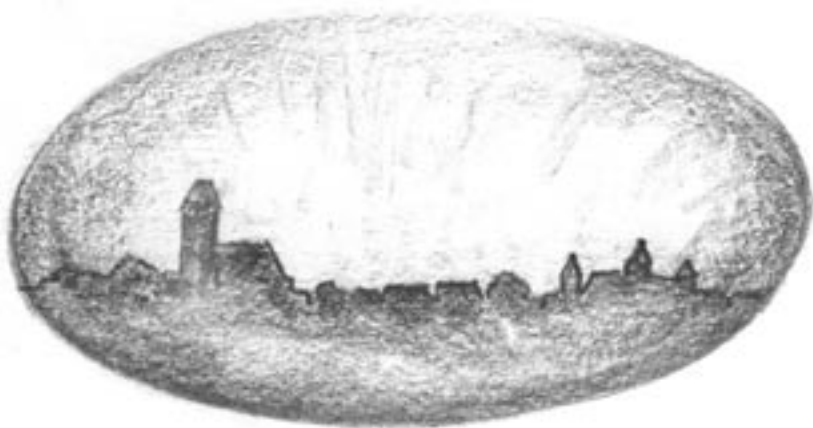
W ostatnich latach ukazało się wiele publikacji zbiorów legend min.: „Legends i opowiadania Skórcza i okolic”, „Legends Borów Tucholskich” i „Legends kociewskie”. Na tym tle ziemia gniewska wyglądała bardzo ubogo. Sporządziłem więc wykaz niezbędnej literatury oraz katalog legend, które należałoby opracować i wydać. Zachęciłem Panią Annę Czyżewską do zredagowania legend ziemi gniewskiej w oparciu o legendy już wydane w różnych publikacjach oraz zredagowanie nowych w oparciu o wcześniej zebrane informacje. Anna Czyżewska z wielką pasją podjęła się tego zadania. Po zredagowaniu legend sporządziłem noty historyczne, które pokazują ich motywy i podłoże historyczne. Dopełnieniem legend są ciekawe ilustracje autorstwa Pani Renaty Reńskiej.

W tym opracowaniu są już legendy znane, które były publikowane, są też legendy publikowane po raz pierwszy, ułożone przez autorkę. Wszystkie podzielono na kilka grup tematycznych. Ten zbiór obejmuje dwadzieścia legend głównie związanych z Gniewem, Ostrowitem, Jażwiskami, Dąbrówką i Piasecznem. Następne legendy do drugiej części są już opracowywane.

W bieżącym roku na terenie gminy oddano do użytku sieć pieszych szlaków turystycznych, które wpisują się w system szlaków na Kociewiu. Tak więc Czytelniku, ruszaj na szlaki w towarzystwie postaci z legend!

Bogdan Badziong

*Gniew
baśnią zaklęty*



Gniew siostrzanych fal

To było bardzo dawno temu, dawniej niż ludzka pamięć sięga. Wisła rzeka, która jeszcze nie miała swojej dzisiejszej nazwy, a nawet Vistulą się nie nazywała, płynęła wtedy prosto do morza jednym korytarzem, po drodze zbierając wody z mniejszych rzek pomorskich, takich jak Debra i z Kociewia płynąca Woda i Wana. Tak nazywały się bowiem wówczas rzeki: Brda, Wda i Wierzycza.

Ta ostatnia jak dzisiaj omijała koliście owalny gród Wińsk, rozłożony w rozwidleniu rzek, dzisiaj zwanych Wisłą i Waną. Była to duża rzeka, u jej ujścia do Wisły mieszkało wiele nimf, które cichym śpiewem usypiały gród do snu. Fale rzeki, teraz zwanej Wisłą, mieszały się zgodnie z wodami Wany, płynąc prosto do morza. Jednak któregoś dnia wzburzyły się wody największej rzeki. Zgodne dotychczas fale pokłóciły się. To dwie najważniejsze nimfy wiodły burzliwy spór o kierunek wód.

- Płynmy szybciej – mówiła błękitnowłosa Nogatka.

- Dlaczego? Tutaj ja prowadzę wody – odpowiedziała spokojnie zielonowłosa Leniwka. – Tam, w górach, biegłam za tobą co tchu, a teraz chcę odpocząć. Płynmy, więc wolniej.



- Spieszę się – odparła błękitna nimfa wzmagając pluskanie.
– Nie będę się wlokła za tobą. Chcę wejść pierwsza do morza.

Trwał spór; a rzeka wypełniała się wirami. W końcu rozszała się burza. Dwie nimfy nie umiały pohamować gniewu. Pozostałe boginie, mniej ważne Wiślinki, podzieliły się na dwa obozy. Orszak błękitnowłosych stanął po stronie Nogatki, a powolne Wiślinki o zielonych włosach wspierały swoją panią, Leniwkę. Kłótnia stawała się coraz burzliwsza, aż dwa przeciwne orszaki rozpoczęły wodną awanturę.

Gniewowi wodnych nimf przyglądały się topielice zbudzone z głębokich nurtów. Świeciły trupimi głowami, patrząc zdumione wnękami oczu. Ucichł piękny śpiew podwodnych rusalek, gdyż wystraszone zbiły się gromadnie przy obu brzegach, gdzie wody były nieco spokojniejsze. Zbiegły się leśne swawolnice, zwabione głośną kłótnią, a w zaroślach hasały dziwożony, mamuny, przypołudnice i inne różne zwidy. Najbardziej cieszyły się złośliwe jędze, jeszcze bardziej podsycając gniew, by nie dopuścić do zgody. Korzystając z ogólnego zamętu wszystkie duchy i zmory swawoliły do syta. Na pobliskich wzgórzach jędze odbywały swoje sabaty. W miejscu gdzie z leśnymi hultajami roznicponiły się najbardziej, powstała karczma o złej sławie, a potem wokół niej osada zwana Nicponią. A gniew wiślanych księżniczek trwał nadal. Co to się działo! Pływały kłócąc się przez dziesięć kilometrów. Wtedy gniew ich rozgorzał na dobre. W rzece niby w piekle gotowały się wodne nawałnice. Jakby dno wywrócono do góry! Zgniewana do ostateczności Nogatka uprowadziła swoje błękitne Wiślinki nową drogą. Wyszła z rzeki i w szaleńczym biegu wyrzyła nowe koryto dla swoich fal. Popłynęła w prawo. Natomiast zielonowłosa

wolno płynęła nadal dawnym nurtem. Dwie siostry wchodziły do morza samotnie, każda w innym miejscu, by się nigdy już nie spotkać. Od tego dnia, w którym wiślane siostry wszczęły spór, gród nad Wisłą zmienił nazwę. Wińsk nazwano Gniewem, przepływając bowiem obok tej osady rozpoczęły sprzeczkę wiślane księżniczki. Zaś tam, gdzie kłótnia wrzała największa, w miejscu gdzie siostry postanowiły się rozejść, powstało osiedle zwane Piekłem. Do dzisiaj dwie siostry płyną osobnymi nurtami. Błękitnowłosa niesie swoje fale Nogatem, spieszniej podążając do Bałtyku. Zielonowłosa prowadzi swoje piękne, lecz leniwe Wiślinki szerokim korytem Leniwiki. Wiadomo: wszystko, co wyżej napisano, to baśń. Rozdzielenie wód Wisły wykształciło się w długim procesie geologicznym. Do XIV wieku główne masy wód Wisły uchodziły Nogatem. Dopiero od 1371 roku, w skutek wielkiej powodzi, nurt ominął zakręt w Nogacie, bo po prostu nie zmieścił się w tym zakręcie, i poszedł Leniwką. Rzeka zmieniła znaczenie obu odnóg. W XVII wieku Nogat odprowadzał do morza trzy czwarte wód wiślanych, po następnych dwóch setkach lat niewiele ponad połowę, a w XIX wieku już tylko jedną trzecią wodnej masy. Obecnie Nogatem płynie zaledwie pięć procent wody, to jest tyle by utrzymać żeglugę. Ale najstarsi mieszkańcy okolic Gniewa, powołując się na opowieści swoich pradziadów, którzy też tylko słyszeli o tym od swoich odległych przodków, wierzą i trwają w przekonaniu, iż rozdzielenie Wisły nastąpiło z powodu niezgody siostrzanych fal. Nikt tego nie widział, ale ludzie tak mówią. A gdy mówi o gniewie ludowe podanie, przekazywane z pokolenia na pokolenie, warto zamyślić się nad zgodą, by nigdy nie burzyć spokojnego nurtu.

Roman Landowski

W tradycji ludowej zachowało się przekonanie, że nazwa Gniew pochodzi od gniewu. Dlatego szukano różnych ludowych wyjaśnień związanych ze środowiskiem przyrodniczo – geograficznym (rzeki, wzniesienia, osady) oraz cechami i sytuacjami życiowymi ludzi (dobro, złość, nieszczęście, kłótność). Jednym z wyjaśnień nazwy miał być spór (gniew) nimf wodnych o to, którędy wody Wisły łączące się pod Gniewem z Wierzą mają płynąć do morza. Legenda wyjaśnia także znaczenie nazw Nicponia i Piekło. Legenda została spisana przez S. Chelmeckiego w 1933 roku i odtąd zaczęła silnie funkcjonować wśród mieszkańców.

Literatura:

Chelmecki S., Krótki zarys historii miasta Gniewu, Gniew 1933.
Grzyb A., Landowski R., Legendy kociewskie, Gdynia 2004.

O powstaniu nazwy Gniew

Zamierzchłe to były czasy. Wisła, tak jak i dzisiaj, płynęła przez prastarą krainę Słowian, szeroko rozlewając wody, wpadała do morza. Rajski to był zakątek, bogato wyposażony przez matkę naturę, ale pomimo to osadników było mało. Wystraszeni groźnymi podwoziami powodziami pozostałymi po nich trzęsawiskami osiedlili się w borach na zachód od Wisły. Tylko na jednym wzgórzu kilku przybyszów osiadło, rzemiosłem się trudniąc. Z bogatych pokładów gliny czerpiąc, garnki i dzbany wypalali. Cieśla wcale zgrabne ławy i stoły sporządzał, również bednarstwem się trudniąc. Jeden ze skór dostarczanych przez myśliwych obuwie i kabaty sporządzał. Osadnicy bogactwa ryb i ptactwa wodnego wykorzystać nie mogli, bo ich niezgrabne dłubanki były wywrotne i nurt rzeki już niejednego życia pozbawił. Brzegi były grzaskie i n niedostępne, a i sprzętu rybackiego odpowiedniego nie mieli. Żyli biednie w swej społeczności na siebie tylko zdani.

Czasem flisacy na głębokim nurcie Wisły na północ płynęli i rzadko udawało im się do nich dopłynąć, wymienić skóry, dzban miodu na odrobinę soli lub przedmioty codziennego

użytku. Aż raz gruchnęła wieść, że przybysz jakiś w parowie na stoku góry chatę stawia. Pomagała mu przy tym niewiasta rosła i piękna, która przy pracy piosenki śpiewała. Mąż wołając ją, ptaszyną zwał. W przybrzeżnych zaroślach tratwa jego z uwiązаныmi łódkami stała. Łodzią śmiało na Wisłę wypływał, gdzie wiele ryb łowił. Kontaktów z nikim nie szukał do czasu, kiedy do osady przybiegł, niewiasty o pomoc prosząc, bo żona rodziła. Śliczny chłopak im się urodził. W podzięcie za pomoc, w darze, wory suszonych i wędzonych ryb oraz całe pęki dzikich gęsi i kaczek niewiastom ofiarował. Zżyła się rodzina przybysza z osadnikami, rady i pomoc nawzajem sobie świadcząc.

Tak płynął dzień za dniem. Aż przyszedł straszny dzień upalnego lata. Rybak ku lasom ruszył, by miodu z barci nazbierać. Żona jego z kilkuletnim chłopcem do Wisły poszła, w wiklinowym koszu odzież do prania niosąc. Chłopca na brzegu zostawiła, przykazawszy, aby się nie oddalał. Przez bród na ławicę piasku przeszła i prać zaczęła. Woda tu bowiem była czystsza niż na zamulonym brzegu. Nagle piasek pod jej stopami zachybotał i zapadł się. Pochłonał ją głęboki nurt. Chłopiec zajęty zabawą zajścia nie widział, goniąc kolorowe ważki, oddalił się od nieszczęsnego miejsca. Słońce ku zachodowi się chyliło, gdy zmęczony chłopiec na próżno matkę wołając, usnął.

Rybak wieczorem wrócił, dom pusty zastał. Poszedł do osady, pytając czy nie widzieli żony i syna, o pomoc w ich odnalezieniu prosząc. Gromadnie do rzeki ruszyli brzegi penetrować. Gdy rybak koszyk o krzaki przybrzeżne zahaczony zobaczył, wiedział, że Wisła jego szczęście zabrała. Straszny był w swoim cierpieniu. Milcząc wszedł na szczyt stoku, pięści ku niebu wzniosł przeklinając rzekę,



Zmogę dę przekłeta! Wody twe zasypię, abyś ludziom więcej cierpień nie zadawała.

Gniew jego wszystkim się udzielił- Przybyli osadnicy, wierzchołek góry obsuwać zaczęli. Ziemię znosili, kamienie toczyli, bagno i brzeg rzeki zasypując. Tak stopniowo góra stawała się coraz bardziej płaska, a brzeg rzeki cofał się na wschód. Na utworzonej płaszczyźnie ludzie nowe chaty budowali. Przewodził im rybak, którego „Gniewny” nazwali a osada „Gniewem” nazwana została.

Gniewnego pomysłem było, aby barkę wspólnymi siłami zbudować i towary swoje samodzielnie przed zimą wywozić.

Pewnego razu barką płynąc, Gniewny i jego towarzysze zobaczyli, że biały ptak do brzegu leci, niosąc w dziobie rybę. Dziwili się, że ptaki gniazd w tej okolicy nie budowały. Na piaszczystym brzegu mały chłopczyk ku ptakowi dłonie wyciągał, a ten siadł na jego ramieniu rybę podając. Gniewny w chłopczyku syna rozpoznał i z krzykiem do brzegu się skierował. Przestraszona mewa z dziwnym trelem jak by zawodzeniem ku błękitom się wzbiła i znikła.

G co widzieli i słyszeli opowiadanie chłopca jak ptak ten przez cały czas karmił go rybami twierdzili, że matka w ptaka zamieniona dziecko owe od śmierci głodowej uratowała.

Gniew pod przewodnictwem Gniewnego zaczął się rozwijać. Ludzie na wierzchołku góry bezpiecznie mieszkali. Ujarzmili Wisłę, ale inaczej niż zamierzali. Gdy przestali się jej bać, stała się ich żywicielką i oknem na świat.

Tak powstał Gniew z portem rzeczny na Wiśle, którego godłem stała się „biała mewa z rybą w dziobie”.

Andrzej Solecki

W tradycji ludowej zachowało się przekonanie, że nazwa Gniew pochodzi od gniewu. Dlatego szukano różnych ludowych wyjaśnień związanych ze środowiskiem przyrodniczo – geograficznym (rzeki, wzniesienia, osady) oraz cechami i sytuacjami życiowymi ludzi (dobro, złość, nieszczęście, kłótność). Jednym z wyjaśnień nazwy miał być gniew rybaka zwanego później „Gniewnym”, któremu Wisła zabrała żonę. Ów rybak chciał złą rzekę zasypać. Na miejscu wyrobiska, z którego czerpano ziemię, by zasypać rzekę, powstał późniejszy Gniew. Ta część legendy wyjaśnia rzeczywiste ukształtowanie terenu, na którym leży obecne miasto. Legenda jednocześnie wyjaśnia pochodzenie godła w postaci mewy, która od początku była znakiem rozpoznawczym miasta. Legenda na podstawie relacji Gertrudy Siebert została spisana przez A. Soleckiego.

Literatura

Śliwiński B., Dzieje miasta Gniewu do 1939 roku, Gniew 1998.

Solecki A., Gniew nad Wisłą, Gniew 1993.

Tajemnice wiejskiej ciszy



Księżycowa ostoja

Wokół wioski Widlice Dolne od wielu, wielu lat krąży legenda o Janie ze Starej Jani herbu Ostoja. Ów Jan był w tamtych czasach powszechnie znany a do dziś uważany jest za najwybitniejszą postać połowy XV wieku na Kociewiu. Wsławił się wielce w pamiętnej walce z Krzyżakami.

Jak głosi legenda, pewnego letniego wieczoru Jan z Jani, jadąc sobie spokojnie na rumaku wśród szumiących drzew i podziwiając zapierającą dech w piersiach przyrodę, nagle usłyszał tętent koni. Nie zdążył nawet się rozejrzeć, gdy niespodziewanie ujrzał przed sobą wielki oddział krzyżacki. Jan z Jani zwykle słynący z męstwa i odwagi, ale też z rozsądnego umysłu, postanowił odskoczyć od wroga, przeprawiając się na drugi brzeg Wisły. Wiedział, że podjęcie walki groziło mu niewolą lub co grosza śmiercią. Siły były nierówne: oddział Krzyżaków i on jeden Jan z Jani.

Nie wiadomo, jakby ta przeprawa się zakończyła, gdyby nie wielki księżyc na niebie, który oświecał drogę Janowi z Jani. Księżycowe światło odbijało się w tafli wodnej, dzięki czemu Jan z Jani przeprawiając się przez Wisłę, płynął na swym rumaku w ślad za świetlistym półksiężycem. Szybko



osiągnął drugi brzeg, zostawiając zdumionych Krzyżaków daleko w tyle. Jan z Jani widząc, że jest już zupełnie bezpieczny krzyknął radośnie do księżycy: „Ostałem się a herb mój Ostoją nazywam”. Dlatego też w samym środku tarczy herbowej widać miecz krzyżacki i dwa przylegające do niego półksiężyce.

Co zaś stało się z oddziałem krzyżackim? Według legendy, niedługo po tym wydarzeniu skrzyknęli się wszyscy okoliczni chłopcy i za pomocą wideł poskromili groźnych Krzyżaków. Stąd też bierze się dzisiejsza nazwa Widlice, wcześniej Widłyce.

Anna Czyżewska

Legenda nawiązuje do rzeczywistych potyczek i walk polsko – krzyżackich, jakie miały miejsce na Pomorzu, w tym także na ziemi gniewskiej w roku 1454 tj. w początkowym okresie wojny trzynastoletniej. Przywódcą powstania zbrojnego przeciw Krzyżakom, które wybuchło 6 lutego 1454 roku był Jan z Jani (ok. 1400 – 1461 r.) późniejszy wojewoda Pomorza z nominacji króla. Jan z Jani za pomocą zorganizowanych sił zdołał wyprzeć załogi krzyżackie z Nowego, Gniewu, Starogardu i Tczewa. Zasługi Jana z Jani a szczególnie bezpośredni udział w walkach z Krzyżakami, były powszechnie znane. W tradycji ludowej zachowała się pamięć o licznych potyczkach w tym w rejonie Widlic. Ponieważ Jan z Jani był postacią bardzo znaną, dlatego jego nazwisko przypisywano dowódcy każdej potyczki. Motyw księżycy, który pokazał drogę i uratował życie występuje w wielu legendach np. legenda o powstaniu Świecia i jego herbu.

Literatura:

Milewski J., Opalenie i okolice, Gdańsk 1988.

Bruski K., Jan z Jani, w: Ludzie pomorskiego średniowiecza, Szkice biograficzne, Seria popularnonaukowa „Pomorze Gdańskie”, Nr 13, Gdańsk 1981.

O wiernym i mądrym byczku

Wleśnictwie Dębiny niedaleko Opalenia mieszkał niegdyś leśniczy z rodziną. Rosły to był chłop, odważny i dość zamożny. Przez długie lata odstraszał od swego rewiru wszystkich kłusowników i zbójników. Każdy bał się leśnego z Dębiny, gdy pewnym krokiem z fuzją po swoim rewirze codziennie się przechadzał.

Było to pewnego, ciepłego wieczoru, gdy leśny, jak co dzień z obchodu rewiru do domu powrócił.

- Bydło w domu, a pasterz jeszcze nie wrócił – oznajmiła mu białka od progu.

Leśny powiesił fuzję na haku w sieni przy kancelarii i odsapnąć troszkę zamierzał. Myśli jego zaprzętały złe rzeczy, dziejące się ostatnio w lesie. Skradziona dłużycza budowlana, ukradzione szczepy, które stały w rzędach przy drogach, zniszczone młode drzewa iglaste – ot, co nie dawało spokoju leśnemu z Dębiny. Czuł, że w jego rewirze źle się dzieje. I trzeba położyć temu kres.

- Muszę złapać tych łobuzów! Ach, wstrętne łajdaki. Cudzej pracy uszanować nie potrafią. A pokażę ja im... Poznają oni fuzję leśnego z Dębiny – groził leśny po cichu,

aż białka jego znów krzyknęła mu nad uchem:

- Bydło w domu, a Gusta nie ma! Gdzie pasterz? Dobry to chłop, zawsze o tej porze bydło pędził do domu i na wieczrze przychodził.

Leśny wyszedł przed chatę. Popatrzył na idące do poidła sztuki. Policzył szybko. Krowy i cielęta były wszystkie. Tylko tego małego, rozbrykanego byczka brakowało.

- Nie martw się kobieto – rzekł do żony. – Gust pewnie w lesie jeszcze byczka szuka. Bo ten rozbrykany na pewno znowu gdzieś się zapodział i drogi do chałupy znaleźć nie potrafi.

- A może gdzieś w krzakach się zaplątał? – rzekła białka leśniczego z przerażeniem w oczach. – Małe to zwierzę, może do jakiegoś dołu w lesie wpadło?

- Dołów torfowych ani rowów czy kanałów w rewirze nie ma, a co do zaplątania w krzaki to nie bój się, moja droga. Możemy być spokojni. Nim słońce zajdzie na dobre, Gust z tym rozbrykanym byczkiem będą tu. A teraz dawajcie wieczrę, bom zgłodniał.

Usiadł leśny przy stole i odsapnął. Dziewka podała gorące jadło. Leśny zaczął jeść ze smakiem, ale myślał o czymś innym.

Za oknem robiło się coraz ciemniej. Leśny z niepokojem zaczął zastanawiać się, czemu pasterz z byczkiem do domu na wieczrę nie wraca. „Czyżby stało się coś niedobrego?” – myślał, ale starał się swego zafrasowania kobiecie nie zdradzać. – „Od jakiegoś czasu przy leśniczówce kręciły się nieznane łobuzy... Ale... nic się przecie stać nie mogło. Gust zaraz wróci. Na pewno byczka w lesie szuka.”

Natrętne myśli nie dawały leśniczemu spokoju. Przypominały mu się wszystkie znaki i liczne sidła

kłusowników, które od pewnego czasu na swoim rewirze znajdował. W tej przygranicznej stronie niegdyś było spokojnie i cicho. Teraz z przykrością musiał w duchu przyznać, że jego teren coraz bardziej nieprzyjaznym się stawał. Pojawiało się co rusz, to więcej nieznanych mu ludzi.

Leśny wpatrywał się w okno, ogarniał go coraz większy lęk. Odstawił resztę wieczerzy, bo więcej już przełknąć nie mógł. Targały nim złe przeczucia. Wstał szybko od stołu i za fuzję z powrotem pochwycił.

- Do lasu pójde raz jeszcze – powiedział. – Poszukam Gusta i byczka. Ja im dam za takie nieposłuszeństwo – pomrukiwał pod nosem.

Białka, widząc jednak jego zasmucenie, poradziła mu, żeby wziął ze sobą sąsiada, robotnika leśnego a może i jego starszego syna. Rada jej słuszna była. We trzech, czym prędzej wyruszyli w drogę. Noc była ciemna i chłód nadchodził. Oni jednakże znali las, jak własną kieszeń. Szli prosto przed siebie. Wiedzieli, gdzie szukać pasterza. Codziennie widywali go, jak pał bydło. Przemierzali wszystkie dróżki i ścieżki, jakimi pędził zwykle bydło do checzy. Księżyc w pełni i gwiazdy oświecały im drogę, rozróżniali krzaki i drzewa, zobaczyliby pasterza i byczka, ale nigdzie nie mogli ich znaleźć. Wołali, gwizdali:

- Hej, Gusta! Gdzie jesteś!? Gdzie jesteś, Gusta?!

Echo leśne powtarzało za nimi: „Gdzie jesteś, Guuusta?!. Nikt jednak nie odpowiadał na ich wołanie. Leśny zadał nawet w róg myśliwski, lecz i to nic nie pomogło. Żadnego odzewu nie było.

Już chcieli strapieni i wyczerpani wracać do domu, gdy nagle... Usłyszeli od strony gąszczu, w którym jeszcze nie



byli, jakieś pomrukiwanie. Przystanęli, popatrzyli na siebie i zaczęli nasłuchiwać. Odgarnęli gałęzie i przecisnęli się w stronę, z której dochodziły dziwne odgłosy. Od czasu do czasu przystawali, aby upewnić się, czy aby im się nie zdaje. Teraz usłyszeli skrobanie ziemi, ciężkie uderzanie o coś twardego, szelest gałęzi.

Podeszli... Jak wielkie było ich zdumienie! Własnym oczom wierzyć nie chcieli. Przed nimi stał byczek i bódł ciężkie szczapy narzucone na kupę chrustu. Zdumieni zrozumieli prędko, jakie nieszczęście się stało.

Byczek popatrzył na nich, zamruczał głośno i boleśnie, po czym odsunął się na bok, aby oni mogli zająć jego miejsce. Śpiesznie odrzucili szczapy i chrust. I wtedy zobaczyli rzecz przerażającą... Pod darniną i mchem leżał pasterz cały we krwi.

Leśny z sąsiadami przeżegnał się nad zwłokami dobrego pasterza.

- Biedaczysko – szepnął. – Na pewno natknął się na jakichś zbójów, kłusowników, co sidła stawiali. Zawsze kochał las. A porządek też lubił. Biedny chłop. Szkoda go, dobry był i pomocny.

Dalej zabrali się do ścinania gałęzi, aby mogli przenieść pasterza do chaty. A byczek z opuszczonym łbem spoglądał tylko smutnymi oczami na ich każdy ruch. Kiedy położyli na gałęziach jego zakrwawionego pana, zbliżył się i zamruczał znów tak boleśnie, że żałość, aż za serce chwyciła.

Ponieśli pasterza do leśniczówki. Byczek, którego już więcej rozbrykanym nikt nawet nie śmiał nazwać, niczym najwierniejszy przyjaciel pies szedł przy nich ze spuszczonego łbem, jak w żałobnym kondukcje, gdy żegna się bliską osobę.

Zaś opowieści o byczkowej mądrości krążą wśród ludu wiejskiego do dziś.

Anna Czyżewska

Legenda nawiązuje do charakterystycznych wydarzeń dla wielu leśnictw tj. kłusownictwa i kradzieży. Leśnictwo Dębiny leży na południe od Opalenia przy starym trakcie do przepraw przez Wisłę we Wiośle. Takie tereny były dogodnym miejscem działania dla wielu oszustów i złodziei, którzy kradli i kłusowali. Potwierdza to także tradycja ludowa z Widlic. Legendę spisał w 1985 roku J. Ceynowa nauczyciel z Dąbrówce w latach 1928 - 1938.

Literatura:

Ceynowa J., Dobro zwycięża, Gdańsk 1985.

Badziong B. Wierzenia pogańskie w rejonie dolnej Wierzycy (maszynopis), Gdańsk 1986.

Jak to szlachcica Ostrowickiego oszukali

Wiele lat temu w miejscu, gdzie dziś biegnie przez Gniew długa i szeroka droga krajowa nr 1, przedtem była szosa pełna wąwozów, dołów, kręcąca zakolami w prawo i w lewo. Ludzie po niej jeździli i chodzili. Nie mieli innego wyjścia, gdy chcieli dostać się do Małej Karczmy czy Nowego. Chcąc pokonać tę trasę każdy mieszkaniec czy podróżnik musiał najpierw pokonać strach przed grasującymi tam łobuzami. Zbójcecy bracia Marteny czatowali w ciemnych wąwozach, dybiąc zwłaszcza na gdańskich kupców. Później, kiedy król pruski Fryderyk II, zwany Frycem Wielkim, zagarnął Pomorze, ta droga wielkie znaczenie miała, bo koło Małej Karczmy była komora celna i zajazd. Komora znajdowała się niedaleko Opalenia, gdzie zatrzymano statki i barki wiążące Wisłą zboże i inne towary z głębi kraju do Gdańska.. Fryc chciał tę stronę jak najrychlej zniemczyć, w czym przeszkadzali mu polscy panowie, którzy mieli tu majątki ziemskie. Zaczął im dokuczać podatkami i różnymi kontrolami. W stronie tej wspaniały klucz majątków miał szlachcic Ostrowicki. Fryc zawiązał się na niego haniebnie, męczył i do ucieczki

rychłej w głąb kraju chciał zmusić do ucieczki na ziemie, które w Polsce szlacheckiej nieliczne jeszcze pozostały. Gdy przeróżne sposoby i wymysły Frycowe skutku zamierzonego nie odniosły, wtenczas nakazał on swemu pełnomocnikowi od spraw majątkowych zrobić wszystko, aby majątki Ostrowieckiego własnością królewską się stały.

- Rozpraw się z tym niesfornym szlachcicem, tak aby skutecznie na niego podziałało – rozkazał Fryc. – Klucz tych majątków moim stać się musi. Mnie - króla pruskiego własnością być powinien. I to zaraz! Dłużej już czekać nie będę! I płacić też zbyt wiele nie zamierzam. Najlepiej zrobisz, jak dostanę te majątki za darmo!

- Jak tego dokonać, mój panie? Szlachcic Ostrowicki wiernie przy Stanisławie Auguście Poniatowskim stoi i kapitana urząd nadal w polskim wojsku sprawuje – pytał zakłopotany pełnomocnik.

Fryca to nie obchodziło wcale, jak wysoki urzędnik albo sam minister finansów miał tego dokonać. Ów urzędnik praktykę niemałą, oj niemałą... miał już za sobą. W Berlinie ją odbył, chociażby przy zniszczeniu polskiego szlachcica i przemysłowca Gockowskiego. Król nakazał i basta! Po pewnym czasie za rozliczanie swych poleceń się zabierał i niech ręka boska broni tego, komu wykonanie nakazu się nie powiodło, bo król srodze za nieposłuszeństwo karał. W więzieniu zaraz zamykał i karę chłosty wymierzyć nakazywał. A kiedy wypadki po jego myśli się układały chwalił, dobrych słów nie szczędził i w wojsku, co mu oczkiem w głowie było, awansował.

Tak, więc pełnomocnik króla czy chciał, czy nie chciał do roboty i odebrania majątków szlachcicowi zabrać się musiał. Wyruszył niebawem do Ostrowitego i i do bogatego

ostrowieckiego szlachcica zajechał. Ten, bowiem zgębiony już do kresu sił swoich, sam postanowił majątki swe po ojcu czcigodnym odziedziczone państwu pruskiemu sprzedać. Jak tylko dał znać o swym zamiarze do Regencji kwidzyńskiej, która nie raz już w tej sprawie silnie go nagabywała. W kilka dni przed dom jego z wrzawą przyjechała karetą i pełnomocnik królewski z niej wysiadł. Szlachcic z wrodzoną sobie, staropolską gościnnością go przyjął. Objechali wszystkie majątki, bo pełnomocnik szczegółowo chciał wszystko oglądać, aby dobrze je potem mógł otaksować.

Miał pecha szlachcic, bo pamięć go w tym dniu niechybnie zawiodła. Przez zmartwienie swe ogromne zapomniał i w spisie tym nie ujął majątku zwanego Kozielec. Wszystko już niby obgadane zostało, spis zrobiony cały, tylko zapłatę w talarach wyłożyć trzeba było. Wtedy urzędnik do szlachcica powiedział:

- Posłuchaj bracie, zapraszam Cię teraz do komory celnej królewskiej do Małej Karczmy. Tam pieniądze dla Ciebie schowane czekają, bo po tej zdradliwej drodze przewozić tak wielkiej sumy nie chciałem. Rabusie czy zbójcy jacyś mogliby mnie napaść, a to pieniądz cenny wielce, bo prosto od króla pochodzący. Wybacz, bracie, nie mogłem na takie ryzyko się dawać. Podążaj, więc za mną, a swą zapłatę godziwą z pewnością otrzymasz.

I cóż miał czynić dobrotliwy szlachcic Ostrowicki? Urzędników pruskich, posłańców i policji miał już po same uszy. Uznał, zatem tę ostrożność i konie polecił zaprzęgać. Posłaniec królewski popędzał, aby sprawy załatwić jak najprędzej. Twierdził bowiem, że kawał roboty innej na niego jeszcze czeka.

Było to późną jesienią, listopadowy ciemny zmierzch



nadchodził. Szlachcicowi wcale się nie podobala jazda o tej porze po niebezpiecznych i zawiłych drogach. Jednak nie było wyboru, trzeba było po zapłatę należną wyruszyć.

I wyjechali. Jechali bardzo powoli, bo konie w wielu miejscach grzęzły. Urzędnik prowadził, zaś szlachcic podążał w ślad za nim. Kiedy wjechali w dolinę zwaną Włosiennicą, niespodziewanie z każdej strony zaczęli nadbiegać ku nim jacyś rabusie. Uzbrojeni opryszkowie rzucili się raptem na karetę szlachcica Ostrowickiego. Karetę zatrzymała się, nie było jak uciec. Zbójcy otoczyli powóz z każdej strony. Po chwili karetę urzędnika również stanęła. Ten wysiadł i zbliżył się do szlachcica. Zaświecił mu lampą prosto w oczy i powiedział głośno:

- Tu masz akt kupna – sprzedaży. Podpisz to w tej chwili, że wszystkie te pieniądze, zgodnie z klauzulą kupna, dostałeś i żadnych pretensji oraz roszczeń do króla mieć nie będziesz.

Szlachcic rozejrzał się wokoło. Wszędzie widział tylko poprzebieranych żołnierzy, chętnych do rozprawienia się z nim. Od nikogo pomocy nie mógł się spodziewać. Żadnego ratunku, wsparcia, żadnej nadziei na ucieczkę... Tylko ciemność wszędzie i las szumiący głucho. Cóż miał robić? Podpisał. Chciał żyć. To było ważniejsze niż te i tak już stracone majątki. Urzędnik widząc podpis zaśmiał się chytrze i kazał zbójcom zniknąć. A sam również odjechał, mówiąc na koniec:

- Dobrze radzę... jak najszybciej do Polski ruszaj. Obyśmy Cię poganiać nie musieli.

Ostrowicki strapiony i sposepniały powrócił biedak do swego pałacu. Tam, co rychlej spakował wszystkie wartościowe rzeczy i wyruszył do Pelplina, gdzie siostrą

zakonnym zapisał wspomniany majątek Kozielec, nazywany później przez Niemców „Nonnenhof” – Dwór zakonnic. Jedyne, który oszustwem niesplamiony w rękach polskich pozostał. W Pelplinie w jednej z klasztornych ksiąg była na ten temat wzmianka.

Podobno należność za majątki Ostrowickiego, podawana w talarach była niemała, bo nawet w kronikach szkolnych pruscy nauczyciele wielce ubolewali i zdziwienia nie kryli nad „zdzierstwem i skapstwem” polskiego szlachcica.

Anna Czyżewska

Legenda nawiązuje do wydarzeń z początkowego okresu zaboru pruskiego tj. z końca XVIII w. Król pruski Fryderyk II przejmował lub nabywał dobra na Pomorzu, w tym także w Ostrowitem. Akcja kolonizacyjna tzw. frydrycjańska miała na celu zajęcie dóbr kościelnych, królewskich i majątków szlachty, która nie złożyła przysięgi. Ponadto stosowano różne formy przymusu wobec pozostałych polskich posiadaczy ziemskich. Dobra w Ostrowitem po Oleskich nabyła rodzina Dębskich. Ostatnim właścicielem był Dębski kasztelan brzesko – kujawski. Okoliczności oszustwa opisane w legendzie są raczej wytworem tradycji ludowej. W legendzie Dębski jest określany jako Ostrowicki tzn. Pan Ostrowitego.

Literatura:

Ceynowa J., Dobro zwycięża, Gdańsk 1985.

Historia Pomorza T. II, do roku 1815 od red. G. Labudy, Poznań 1984.

O wiernym psie rzeźnika

Nieopodal Gniewu w Dąbrówce była sobie niegdyś karczma. Zwano ją „Polną”, bo na polu stała a klientów doprowadzały do niej liczne polne, krzyżujące się ze sobą drogi. Często bywało tam dosyć tłoczno i zabawa wrzała w najlepsze, a najwesелей było, gdy odbywały się tańce albo dożynki. Zabawy w „Polnej” karczmie huczne były i mile przez ludność wspominane, ale o jej właścicielu często we wsiach złe rzeczy opowiadano. To i owo o nim złego szeptano, jednak nikt tak naprawdę nie mógł mu nic zdrożnego zarzucić.

W dawnych czasach nie było w tamtych stronach ani samochodów, ani pociągów, ani żadnych autobusów. Ludzie wędrowali od miasta do miasta, od wsi do wsi, piechotą polnymi drogami. Bogaci zaś jeździli konno lub w karetach. Często w tych stronach bywali domokrażni kupcy a czasem też pewien rzeźnik z woreczkiem na pieniądze i z psem. Któregoś dnia rzeźnik ten zjawił się późnym wieczorem u karczmarza. Zamówił wieczerzę dla siebie i dla zgłodniałego po długiej podróży psa. Gdy rzeźnik najadł się do syta kazał się zaprowadzić do pokoju na odpoczynek. Senny był niezmiernie po męczącej wędrówce. Psa kazał przywiązać na zewnątrz na



sznurku, aby nie wałęsał się jak bezpański po nieznanych mu drogach. Niestety nad ranem pies jakoś wyswobodził się z uwięzi i wałęsając się po drodze od czasu do czasu głośno i wręcz rozpaczliwie wył. A jak to mawiali starsi ludzie, gdy pies nocą wyje, to śmieć się za rogiem kryje.

Karczmarz zdziwił się i złość go ogarnęła, gdy zobaczył, że psa na uwięzi nie ma. Odganiał go, rzucał kamieniami, próbował do siebie przywabić, ale pies za nic nie chciał dać się złapać. Ludzie zaczęli się za karczmarzem oglądać, widzieli, że z rzeźnikowym psem musiało stać się coś dziwnego, bo zawsze przy nodze swego pana tylko chodził. Nigdy sam się nie wałęsał, bo rzeźnik dbał o swego psa tak, jak o najwierniejszego przyjaciela lub najdroższe dziecko.

- Gdzie ten rzeźnik? - dopytywali. – Pies samopas lata. A pana jego nie widać.

Szeptali tak do siebie, jednak z czasem głośno i otwarcie już gadać zaczęli. Niepokój zawisł nad całą wsią. A pies z opuszczonym ogonem i smutnymi oczami wędrował samotnie po polach i bezdrożach. Następnego dnia w Ostrowitem był żandarm. Wysoki, na szkapie i przy szabli. Jechał przez Dąbrówkę do Opalenia, gdzie właśnie budowano most na Wiśle. Sprytny był i spostrzegawczy. Dziwne zachowanie psa zwróciło jego uwagę. Postanowił zatrzymać się i zapytać karczmarza, czemu ten pies rzeźnika tak się po wsi wałęsa.

Karczmarz nieco się speszył. Żandarm zaraz zauważył jego niefrasobliwą minę i zaczął dalej wypytywać.

Uspokojony wyjaśnieniami już na konia swego chciał wskoczyć i odjechać, gdy nagle pies zaczął straszliwie ujadać i do płotu doskakiwać, jakby chciał do ogrodu się dostać. Wtedy do płotu przybiegli chłopcy, którym ten pies też był znany. Jeden z nich, odważniejszy od innych, podszedł do żandarma

i mówi:

- Ten biedny pies już od rana przy tym płocie stoi i co chwilę skacze. Przerażliwie wyje w tym miejscu!

Żandarm wysłuchał go uważnie i kazał karczmarzowi wpuścić psa do ogrodu. Karczmarz spieszył się jeszcze bardziej, ale chcąc nie chcąc, psa wpuścić musiał.

Gdy pies wpadł do ogrodu, skoczył natychmiast na kupę chrustu świeżo narzuconą przy szczycie i zaczął gwałtownie rozdrapywać ją łapami, kwiląc przy tym i poszczekując. To zastanowiło wszystkich.

- Czego ten pies szuka? Co tam jest? – zapytał żandarm ostrym tonem.

- Wczoraj w tym dole zakopałem zdechłe prosięta. Pewnie z głodu ten kundel tak kopie, bo mięso wyczuwa – odparł karczmarz.

Pies dalej grzebał i skomlał. Co parę chwil z lękiem w smutnych ślepkach spoglądał na ludzi, których przy płocie zbierało się coraz więcej. Najczęściej kierował wzrok ku żandarmowi, jakby wiedział, że tylko na jego pomoc może liczyć.

- Odrzućcie chrust! – krzyknął żandarm.

- Po co? Tam są same zdechłe, pewnie już zgniłe prosiaki. Chore były, więc pozabijałem. Dajcie pokój, pozarażacie się – tłumaczył usilnie przestraszony karczmarz.

Na nic zdały się jego biadolenia. Dwóch wyrostków skoczyło zaraz i do odrzucania chrustu żwawo się zabrało. Wkrótce pod chrustem zobaczyli świeżo kopaną ziemię.

Młodzi dalej odkopywali. Karczmarz stał bez ruchu. Nic już się nie odzywał. Pies jeszcze zajadlej wył. Pomagał im pazurami i pyskiem odkopywać. Kiedy odrzucili trochę ziemi, zahaczyli o odzienie trupa. Karczmarz spojrzał dzikim

wzrokiem, odwrócił się i zaczął uciekać. Ludzie za nim.

- Stój, bo strzelę – ryknął żandarm.

Biedny pies w tym czasie lizał już skronie i twarz zamordowanego pana. Nie wył już wcale. Skamlał tylko rozpaczliwie. Siadł i skrzyżował łapy, jakby chciał swego pana, choć teraz obronić przed złymi ludźmi. Potem przyjechała z Opalenia żona zabitego i pogłaskała psa czule po puszczonej łbie. Poszedł wtedy powoli za wozem, na którym wieźli zwłoki jego ukochanego pana.

Po tym strasliwym zdarzeniu karczma niegdyś zwana „Polną” zaczęła z rąk do rąk przechodzić. Klienci niechętnie do niej zaglądali, raczej nikt, kto kiedykolwiek słyszał legendę o rzeźniku i jego wiernym psie, nie odważył się tutaj przenocować.

Po wielu latach za tanie pieniądze właścicielem karczmy stał się Maciej Trampowski, wielki Polak i pobożny katolik. Poparcie miał spore u członków Towarzystwa Ludowego, którym użyczał sali na różnorakie zebrania i narady. Przez pewien czas w karczmie znów roiło się od ludzi. Młodych i starych. Nie podobało to się Niemcom, a zwłaszcza karczmarzom z Kolonii Ostrowickiej. Rząd pruski zaczął wtedy nękać polskich kupców a do Tramowskiego często żandarm zajeżdżał. Węszył za tym i za tamtym. Ciągłe czegoś szukał. Jak nie polskich pism czy książek to ciągle dopatrywał się nieporządków. Ale Tramowski był twardy i porządny. Przez długi czas żandarm nie mógł niczego znaleźć, co by dawało podstawę do zamknięcia karczmy. Odjeżdżał zawsze coraz bardziej zły.

Aż któregoś dnia przypomniał sobie opowieść o wiernym psie rzeźnika. Przewertował stosy pism i protokołów. I wreszcie znalazł jedną małą notatkę o dole wykopanej przy

szczycie budynku. Skoczył szybko na szkapę i ruszył prosto do karczmy Tramowskiego. Gdy dojechał, obejrzał uważnie całą zagrodę, ogród i szczyt budynku. Zauważył wreszcie jedną, niewielką rysę. Uradowany tym, co dostrzegł przywołał zaraz Tramowskiego do ogrodu. Tam wrednie wyszczerzył zęby i powiedział:

- Rysa! Szczyt się niedługo zawali. My, Niemcy dbamy o ludzi i o waszych klientów też. trzeba od jutra zamknąć karczmę! A nuż komuś coś złego się stanie...

Tramowski ze łzami w oczach błagał, tłumaczył, przekonywał. Wszystko na nic. Żandarm wypisał nakaz zamknięcia karczmy.

- Koniec! Zamykać karczmę! – zakomunikował.

Niemcy zacierali ręce, czekając na zyski w swoich karczmach. A Tramowski czekał na lepsze czasy...

Anna Czyżewska

Legenda oparta na motywie karczmarza, który dopuszcza się bardzo złych czynów jest charakterystyczna dla karczm winnych miejscowościach. Karczma była miejscem, gdzie działy się różne nietypowe wydarzenia, do których mieszkańcy nie byli przyzwyczajeni. Stąd powstawały legendy o karczmach i karczmarzach. W Dąbrowce istniała karczma przy drodze z Kolonii Ostrowickiej do Opalenia. Na początku XX wieku z inicjatywy ks. A. Wolszlegiera dąbrowianie wykupili podupadły majątek Niemca Szofera, co wywołało niezadowolenie zaborcy pruskiego. Zamknięcie karczmy gorliwego Polaka Macieja Tramowskiego opisane w legendzie było jednym z przejawów represji wobec aktywnych i wpływowych Polaków.

Literatura:

Ceynowa J., Dobro zwycięża, Gdańsk 1985.

Milewski J., Opalenie i okolice Gdańsk 1988.

*W kręgu
zjaw i demonów*



Demon Fibelkorny

Odkąd pamiętam wśród mieszkańców miejscowości Ciepłeiokolickrażąstraszliwelegendyodemonicznym Niemcu Fibelkornie, który w czasach międzywojennych XX wieku był rządcą tamtejszych majątków.

Do dziś żyją niektórzy z jego pracowników oraz ci, którzy znali go tylko z widzenia i złej sławy. Jednak o jego szatańskiej sile nie chcą mówić zbyt wiele. Uśmiechają się tylko nieśmiało, kiwają głowami. Potem z obawą w oczach stwierdzają, że... to nie był zły człowiek, tylko ludzie opowieści różne niepochlebne o nim rozpuścili. Tak, jakby nawet dziś, po wielu, wielu latach, bali się, że demon Fibelkorny wciąż gdzieś czyha i ukarze ich za przewinienie. Jak niegdyś.

Po wielu prośbach, lękliwie decydują się uchylić rąbka tajemnicy...

Było to w latach 20. i 30. XX wieku. Stary Fibelkorn mieszkał wraz żoną w pięknym pałacu przy wjeździe do Ciepłego. Był to mężczyzna wysoki, przystojny, jak mówią, czarnowłosy, choć nieco już siwiejący, o groźnym spojrzeniu i ciągle posepnym wyrazie twarzy. Zawsze elegancki i budzący nieustanny respekt.



Miał dwóch dorosłych synów. Postawnych jak on, zarządzających dwoma pozostałymi majątkami w Ciepłym. Arno Fibelkorn zamieszkiwał dwór w głębi wsi, natomiast drugi syn starego Fibelkorny mieszkał w pałacu przy drodze, prowadzącej do Wielkich Walichnowych. O synach Fibelkorny nie wiadomo zbyt wiele. Zła sława ojca rzucała jednakże fatalny cień na cały ród.

Jedna z ówczesnych pracownic starego Fibelkorny do dziś pamięta straszliwą, listopadową noc. Było bardzo ciemno, drzewa szumiały groźnie. Dziewczyna, wracając z pracy tę samą, co zwykle szosą, ujrzała po drugiej stronie drogi wielką, czarną, lecz niewyraźną i zaćmioną postać mężczyzny. Pies towarzyszący zawsze dziewczynie zaczął straszliwie ujadać. Postać nie poruszała się, lecz przenikliwie i złowrogo wpatrywała się w stronę panny.

Pies nie przestawał szczekać i wyć, jednak nie zbliżał się do czarnego mężczyzny. W pewnej chwili zerwał się straszliwy huragan. Dziewczyna uciekła. Obejrzała się za siebie, będąc już kilkaset metrów dalej. Mężczyzna wciąż stał w tym samym miejscu. Patrzył teraz nadal w jej kierunku. Zimny wiatr chłostał ją po twarzy. Wiedziała już, że to musi być demon starego Fibelkorny. Przerażająco szatański...

Fibelkorna słynał z tego, że jego duch pojawiał się na terenie majątku nawet wtedy, kiedy ten rzekomo przebywał poza okolicami Ciepłego, nawet w Warszawie czy Gdańsku. Nieustannie pilnował swych pracowników i mieszkańców.

Gdy któryś z mieszkańców odważył się wejść na teren pięknego, obsypanego owocami sadu Fibelkorny i próbował zerwać z drzewa choć jeden soczysty, smakowity owoc, wówczas pojawiał się legendarny demon...

Czasem łapał zarękę i bez słowa upiornym, przeszywającym

spojrzeniem wyrzucał człowieka z sadu.

Następnym razem inny śmiałek chcąc wykorzystać nieobecność Fibelkorny we dworze, postanowił „zapolować” na pańskie owoce. Usiłując skraść kilka czerwonych, apetycznych jabłek nagle zobaczył szaleńczo i niebezpiecznie pędzącego przez sad białego ogiera, a na nim czarną postać starego Fibelkorny. Wiatr zawiał, drzewa niesamowicie zadrżały, ciemne chmury na chwilę zawisły nad sadem i człowiek ten nigdy już nie odważył się wchodzić bez pozwolenia do pańskiego ogrodu.

Stary Fibelkorn zmarł 11 września 1930 roku o godzinie 10.00. Przeraża i straszy nawet dziś. Jego zdewastowany grób znajduje się w Ciepłym. Niegdyś sporo się mówiło o zakopanych tam wielkich pieniądzach. Niektórzy nawet odważyli się kopać w miejscu, gdzie pochowano zwłoki upiornego pana. Czy coś znaleźli? Nie wiadomo...

Jednak spragnieni diabolicznych wrażeń mogą wybrać się w listopadową noc o północy na spacer po tzw. Przeczkach w Ciepłym, nieopodal grobu Fibelkorny. Podobno jego złowieszczy demon wciąż czuwa...

Anna Czyżewska

Legenda jest oparta na działalności autentycznej postaci Kurta Fibelkorn, właściciela majątku ziemskiego w Ciepłym. Kurt Fibelkorn żył w latach 1865-1930, był właścicielem majątku ziemskiego w Ciepłym, miał dwóch synów. Poprzez swą osobowość wzbudzał grozę wśród okolicznej ludności. Dzięki zachowanym wspomnieniom nielicznych, żyjących jeszcze mieszkańców gminy Gniew możliwe było opracowanie legendy o demonie Fiblekorny. Legendę po raz pierwszy spisała Anna Czyżewska.

O zamkowym duchu komtura

W latach 1407-1410 komturem gniewskim był Zygmunt von Raumungen, zarządzał on zamkiem oraz całą komturią gniewską. Był on bardzo dobrym gospodarzem oraz opiekunem, zarówno dla mieszkańców zamku jak i dla swych poddanych.

Lecz okres w którym sprawował swe rządy nie był czasem spokojnym. Zakonowi groziła wojna z Polską o Pomorze Gdańskie oraz Żmudź. Zygmunt von Ramungen był człowiekiem światłym i wiedział że wojna między dwoma chrześcijańskimi krajami dobra nie przyniesie, a może nawet doprowadzić do upadku całego zakonu. Odradzał on wojnę Wielkiemu Mistrzowi Zakonu Krzyżackiego i nawoływał do pokoju. Lecz Ulrich von Jungingen zaślepiony żądzą wojny uznał to za tchórzostwo. Gdy w czerwcu 1410 roku rozpoczęto działania wojenne i koncentrację wojsk zakonnych pod Świeciem Zygmunt von Ramungen wezwany przez Wielkiego Mistrza w pośpiechu z wojskami z zamku wyruszył. A gdy go jeden z braci zapytał komu że warownie na czas wojny powierzysz, odburknął: „a choćby i złym duchom” i tak w gniewie twierdze opuścił. 15 lipca 1410



roku doszło do walnej bitwy z Polakami pod Grunwaldem. Ulrich von Jungingen by tchórzostwa Zygmunta oduczyć, wysłał go do walki w pierwszych szeregach. Zygmunt von Ramungen wraz z wieloma braćmi zginął na polu bitwy walcząc do ostatniego tchu. Zakon stanął na skraju bankructwa. Zamek gniewski pozostawiony bez zarządcy zajęli Polacy, którzy zaczęli łupić majątek zakonu. Wtedy niejednokrotnie widziano Zygmunta krążącego po zamku i doglądającego majątku. Pewnie również za jego przyczyną już w 1411 roku zamek odzyskali krzyżacy. Niestety następcy Zygmunta von Ramungena również łupieżczo zarządzali jego komturstwem, a błędna polityka kolejnych Wielkich Mistrzów Zakonu doprowadziła do kolejnej wojny z Polakami. Zygmunt pojawiał się nadal stając na straży dóbr swych poddanych. Podczas wojny XIII-letniej zamek zajęły wojska Piotra Dunina, a ziemia gniewska została przyłączona do Polski. Zamek stał się siedzibą starostów. Coraz rzadziej widywano komtura, pojawiał się tylko gdy nieprawości w zamku czyniono. Stał on się dobrym opiekunem wartowni. Pojawił się w czasie wielkiego pożaru zamku, który w lipcu 1921 r. Twierdzę w ruinę przemienił. Wędrując po zgłiszczach zamku krzyczał:

„Ja, Zygmunt von Raumungen, komtur gniewski i pan na zamku, wszech razem i każdego z osobna, który do zniszczenia zamku się przyczynił - przeklinam! A zapewniam, że nie spocznę, póki zamek, nie patrząc czy będzie do pierwotnej potęgi, sławy i stanu nie wróci drżycie i szukajcie bogactw na jego naprawę!!!”.

Krzysztof Urban

Legenda nawiązuje do autentycznej postaci komtura gniewskiego Zygmunta von Raumungena (1407 – 1410), który zginął podczas bitwy pod Grunwaldem. Legenda nawiązująca do jego postaci jest wytworem z okresu lat dziewięćdziesiątych XX wieku, kiedy to odbudowano Zamek w Gniewie a w jego murach zaczęli gościć turyści. Legendę spisał Krzysztof Urban.

Literatura:

Urban K., O zamkowym duchu komtura (maszynopis), Gniew 2005.

Śliwiński B., Dzieje miasta Gniewu do 1939 roku, Gniew 1998.

Śmierć w lodowatej otchłani

Niedaleko Gniewu w malowniczej miejscowości Mała Karczma nad pięknym jeziorem stała niegdyś gospoda. Cieszyła się ona wielkim uznaniem wśród gości z różnych stron Polski i nie tylko. Przybywali tłumnie i często z Kwidzyna, Gniewa, Stargardu, aby nasycić się pysznym posiłkiem i trunków dobrych się napić. Nawet miejscowi lubili przesiadywać w tejże karczmie, bo widoki z niej rozpościerające się zapierały każdemu dech w piersiach. Zielone pagórki, lasy sosnowe i liściaste, błękitne jezioro i spokojnie płynąca nieopodal Wisła przyciągały swym nieopisanym urokiem nie tylko gości z dalekich stron.

Niestety, po pierwszej wojnie światowej przybysze coraz rzadziej zatrzymywali się w gospodzie. Ruch w niej stopniowo zamierał. A wszystko, dlatego że nowym właścicielem został Niemiec - Worma, który nie znośił Polaków. Zwłaszcza tych, którzy mieszkali w pobliżu karczmy. Niedostępny i zamknięty w sobie, nieprzyjemny dla polskich sąsiadów trzymał tylko z niemieckimi bogaczami i luterami, których ku zadowoleniu miejscowych nie było w okolicy zbyt wielu.



Później wdał się w hitlerowską propagandę. Jak mawiali starsi mieszkańcy, podobno już przed drugą wojną światową szpiegował sąsiadów, a nawet prowadził listy podejrzanych o niesprzyjanie Niemcom. Gościł też u siebie szpiegów z Prus Wschodnich. Jednak nikt z miejscowych nawet wtedy nie przypuszczał, że Niemcy, gdyby w czasie wojny okolicą zawładnęli, odważą się na mordowanie spokojnych ludzi. Stało się inaczej...

Jak tylko Niemcy hurmem wtargnęli na polskie ziemie i do Małej Karczmy przybyli, od razu znaleźli sojusznika w Wormie. Ten chętnie pomagał w zaprowadzaniu niemieckich porządków. Bez najmniejszych skrupułów jako pierwszych wskazał na wyniszczenie swoich najbliższych polskich sąsiadów. Teraz on czuł się góram. Pomijał wszystkimi sąsiadami, jak i swymi rodakami, którzy wykazywali, choć odrobinę rozumu, obrzucał wyzwiskami przy każdej sposobności i czasem nawet nie wahał się uderzyć.

Wojna się przedłużała. Niemieckie zwycięstwo staowało pod znakiem zapytania. Front wschodni zmierzał w stronę Zachodu i coraz ostrzej ruszał na Prusy. Niemcy zaczęli się obawiać. Jedyne Worma pozostawał bez strachu. Nie tracił nadziei, że hitlerowska, cudowna broń i pomoc rychło nadejdzie. Stawał się coraz odważniejszy.

W czasie, gdy Niemcy z nakazu esesmanów, ogarnięci strachem zaczęli uciekać. Worma został. Trwał niewzruszony z nadzieją, że niedługo sytuacja się zmieni i pomoc od wodza Hitlera nadejdzie.

Trzymał krótko, wręcz pastwił się nad swoimi najbliższymi, żoną i córką. Synów swoich wysłał przymusowo na front, aby dzielnie bili się za wielką Rzeszę. Kiedy żona i córki - biedaczki chciały ze wszystkimi uciekać, z krzykiem

zabronił im się ruszać z domu. I wtedy stała się rzecz przerażająca...

Do Małej Karczmy wkroczyły zwycięskie wojska radzieckie. Przestraszony Worma z rodziną uciekł czym prędzej nad jezioro. Blisko brzegu miał już ten straszny człowiek wszystko przygotowane. Wielka czarna dziura przerębla czekała na jego rodzinę. Worma bestialsko zaczął wypychać, wciskać na siłę żonę i córki w czarną, lodowatą otchłań śmierci. Słysząc było tylko przeraźliwy krzyk mordowanych kobiet, rozpaczliwe wołanie o jakąkolwiek pomoc. Jednak nikt nie pospieszył im na ratunek... Walka trwała, śmierć niosła swe spustoszenie i przestрах dookoła, kule ryły szosę.

Zresztą Worma miał strzelbę i każdy wiedział, że zbliżając się do tego demona, to, jakby dobrowolnie szło się na śmierć. I tak zginął ród Wormów. Dwie niewinne córki i żona utonęły pod lodowatą krą, wepchnięte na śmierć ręką własnego ojca i męża. Potem on sam wskoczył do przerębla i nigdy już nie wypłynął.

Do tej pory jednak na miejscu pamiętnej tragedii mieszkańcy żegnają się i cicho z przestachem w głosie szepczą:

- Tam podczas zimowych, czarnych nocy straszy demon Wormy.

Inni zaś mówią:

- Tam ktoś pali ogień...

Aby zatopionym, niewinnym dziewczętom i kobiecie cieplej było i może... aby rozgrzać lodowate serce bestialskiego Wormy.

Anna Czyżewska

Legenda nawiązuje do wydarzenia, jakie miało miejsce w Małej Karczmie w 1945 roku. Właścicielem karczmy w Małej Karczmie był wówczas Willi Worm. Był on gorliwym wykonawcą antypolskiej polityki hitlerowskiej. Miał bliskie kontakty z Albertem Forsterem szefem NSDAP w Gdańsku i zarządu cywilnego Prusy Zachodnie. Wśród mieszkańców pozostało po nim złe wspomnienie. Gdy zbliżała się armia radziecka W. Worm w lutym 1945 roku utopił żonę i córki a następnie sam się utopił w przeremblu w Jeziorze Rakowieckim. Przeżyła prawdopodobnie jedna córka, która w tym czasie przebywała w Gdańsku.

Literatura:

Milewski J., Opalenie i okolice, Gdańsk 1988.

Ceynowa J., Dobro zwycięża, Gdańsk 1985.

O Gburze, co w duchy wierzyć nie chciał

O zjawach w Ostrowitem mówi się od czasów napoleońskich. A dokładniej od pamiętnej bitwy z prusakami. Dziś na miejscu walki po stronie Nowego są podmokłe, niskie pola. Miejscowi przestrzegają, żeby wieczorem na te pola nie chodzić, bo tam straszy. Gdy słońce schowa się za chmury, a zwłaszcza, gdy wietrzna i ciemna noc nadchodzi, wtedy dziwne widma pokazują się na polach. Nikt nawet nigdy nie śmiał w to wątpić. Już maleńkie dzieci wiedziały od rodziców, że wieczorem na pola chodzić nie wolno, bo krążą tam duchy huzarów.

Jeden tylko śmiałek się znalazł. Kpił, śmiał się z ludzkich wymysłów i ziemię tę w najlepsze uprawiał. Orał, siał, żniwił, sprzątał i nijak w żadne zjawy uwierzyć nie chciał. Był to niemłody już gbur, właściciel pobitewnych pól.

- Wiele lat na tym polu robię, że niemalże pół życia tu spędziłem i żadnych tajemniczych upiorów nigdy nie widziałem. Przestańcie ludziska zgrozę siać i do roboty się weźcie. Żadnych duchów i zjaw tu nie ma i nie było – mawiał gbur sąsiadom, kiedy wieczorami na ławach przy domach siadali i różne niestworzone rzeczy opowiadać zaczęli.

Mijały dni, miesiące i lata a gbur ciągle obstawał przy swoim. Pewnego jesiennoego wieczoru, było to w końcu września, gbur jak zwykle kończył już swą robotę i do domu na wieczerzę zbierać się zaczynał.

Chciał już konia z pługa wyprzęgać, gdy nagle... wicher zerwał się straszliwy i ogromne, czarne chmury nad polami zawisły groźnie. Wierny koń gbura, ulubiony zresztą, bo wojskowy i silny, trząść zaczął się i rzucać konwulsyjnie.

- A co Tobie? – spytał gbur zwierzę po przyjacielsku. – Robota cię dziś nie zmęczyła wcale, ha? Harców ci się i gonitwy zachciewa, co? Jak niegdyś, co huzarów nosiłeś?

Koń nie przestawał. Kopytami coraz mocniej wymachiwał i głośno rzeć zaczął. Dalej rzucał się i rwał coraz bardziej do przodu. Gbur rozejrzał się wokół siebie i strachu nieco nabrał. Wicher świszczał mu nad głową, jesienne, różnobarwne liście tańczyły gwałtownie w powietrzu. I wtem, gbur w oddali na widnokręgu wśród białych, młodych brzoźek, które, jak mawiali starzy mieszkańcy, na miejscu poległych w bitwie wyrosły, ujrzał trzy siwe konie. Stały spokojnie z opuszczonymi głowami, jakby skubały trawę. Gbur zdziwił się nieco i aby sprawdzić, czy wzrok go nie myli, pogwizdywać na nieznane mu konie zaczął. Nie czekał długo, bo zaraz zza krzaków pod Grabiną wyłonili się trzej huzarzy w strojach z czasów pruskich.

- O Jasna Panienko – szepnął gbur i konia do siebie bardziej przygarnął. Dreszcze przeszły mu po plecach, a krople potu pojawiły się na spracowanym czole.

Gbur patrzył, patrzył na huzarów i czuł, że chłód zawiewa od nich przeraźliwy. Wiedział już, że na pewno nie są prawdziwi. Gbur przeżegnał się i gniadego poklepał uspokajająco.

- Widzisz ty, koniku...? A my się tak ze starych ludzi nakpiwali... A mieli oni rację. Zjawy pruskie na moich polach...



- mówił ściszym, przestraszonym głosem.

I patrzyli obaj w stronę zachodzącego słońca, gdy nagle wiatr ucichł i zjawy żołnierzy znikły im z oczu.

Koń przestał rwać się i rzeć. Gbur jednak niespokojny wracał z pola do domu. Długo po głowie chodziły mu myśli o żołnierskich duchach pod Grabiną spotkanych. I nigdy już z wierzeń ludowych wyśmiewać się nie próbował.

Anna Czyżewska

Legenda nawiązuje do potyczki, jaka miała miejsce w okresie kampanii napoleońskiej na Pomorzu. 13.01.1807 r. generał Jakub Komierowski wyruszył z oddziałem wojska z Nowego w kierunku Gniewu. Pod wsią Ostrowite napadł na nich oddział wojsk pruskich. pod dowództwem lejtnanta Eichstadt. W wyniku potyczki zabitych zostało piętnastu po stronie pruskiej oraz dwóch po stronie polskiej. Generał J. Komierowski został ciężko ranny, zabrany do Nowego zmarł i został tam pochowany. To wydarzenie na trwałe wpisało się w pamięć mieszkańców. Było to dla nich największe wydarzenie kampanii napoleońskiej na Pomorzu. W miejscu potyczki powstała później osada Eichstadt. W tradycji ludowej z miejscami, w których zginęli ludzie, związane były podania o duchach i zjawach, które straszą śmiałków i niedowiarków. Legenda po raz pierwszy została spisana przez J. Ceynowę w 1938 roku.

Literatura:

Ceynowa J., Dobro zwycięża, Gdańsk 1985.

Milewski J., Mykaj A., Nowe nad Wisłą, Gdańsk 1966

Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, t. XI, z. XX, hasło Gniew, Warszawa 1895

Zakątki cudów



O uzdrowieniu Księżnej Krystyny

Dawno, dawno to było, kiedy Najświętsza Panienka uczyniła pierwszy cud w Piasecznie.

W roku 1648 na gniewskim Zamku straszliwe nieszczęście spotkało rodzinę Wojciecha Stanisława Radziwiłła, księcia na Ołyce i Nieświeżu, kanclerza Wielkiego księstwa litewskiego i starosty gniewskiego.

Jego zacna, czcigodna małżonka Krystyna, córka Stanisława Lubomirskiego groźnie zachorowała. Choroba nikomu nieznana z każdym kolejnym dniem, powoli wyniszczała wątłe ciało Księżnej. Rozżalony Książę Wojciech Stanisław ratunku szukał wszędzie. I w kraju i zagranicą. Wzywał najbardziej znamienitych, cieszących się szerokim uznaniem lekarzy, a nawet wiejskich znachorów. Nic jednak nie pomagało. Krystyna była już bliska śmierci. Z trudem nawet oddychała. Na nogi całkowicie zaniemogła.

- Mężu mój drogi, nie ma już dla mnie żadnego ratunku – powtarzała codziennie. – Zła choroba odbiera mi już resztki sił. Wciąż wzywam Pana Boga i Najświętszą Panienkę na pomoc...

Wtem ogarnięty rozpaczą pobożny Radziwiłł, słysząc



słowa żony, zaczął modlić się gorliwie. Wiedział, że jeśli jego zacnej małżonki Matka Przenajświętsza nie uzdrowi, to nic już jej nie pomoże. Pomyślał wtedy:

- Przecież Matka Najświętsza jest najlepszym uzdrowieniem chorych, a tu w Piasecznie tak łaskawa! Pójdę do cudownego obrazu i w Piasecznie o pomoc poproszę.

Zaraz rozkazał procesję wielką do świętego obrazu urządzić, aby o uzdrowienie małżonki, jak najpobożniej prosić. Księżną Krystynę prawie już nieprzytomną, na łóżku wynieśli i w kierunku Piaseczna podążać zaczęli. Na przedzie szedł Książę Radziwiłł, a dalej nawet zwykli, świątobliwi gniewanie do Piaseczna zmierzali o zdrowie Księżnej prosić.

Gdy doszli do wsi zacna Księżna Krystyna zaledwie jeszcze żyła. Jednak pełni wiary w pomoc Boską postawili ją w kościele przed otwarty cudowny obraz.

I wtedy stał się cud! Księżna Krystyna powoli wstała i ku największemu zadziwieniu obecnych, klękła przed obrazem Matki Najświętszej. Razem z rozradowanym małżonkiem wielkie podziękowania składać zaczęli. Zebrany lud pieśni pochwalne na cześć Najświętszej Panienki wyśpiewywał. A Księżna zupełnie zdrowa wraz z uradowanym mężem powróciła na gniewski Zamek.

Anna Czyżewska

Dekret wydany przez bpa kujawsko - pomorskiego Mikołaja Gniewosza (1642-1654), oparty o wyniki czteroletnich badań komisyjnych, mówi m.in. o uzdrowieniu w 1647 r. drugiej żony starosty gniewskiego, Abrychta IV Stanisława Radziwiłła, Krystyny Anny zd. Lubomirskiej (scenę upamiętnia obraz wiszący w prezbiterium kościoła oraz fragment płaskorzeźby na drzwiach brązowych tej świątyni z 1983 r.).

W tradycji ludowej zachowało się podanie o uzdrowieniu księżnej Krystyny żony starosty gniewskiego A. S. Radziwiła spisane przez ks. J. Fankidejskiego. Podanie oparte jest o autentyczny cud za wstawiennictwem MB Piaseckiej. Został on potwierdzony dekretem biskupa kujawsko – pomorskiego Mikołaja Gniewosza (1642 – 1654), oparty o wyniki czteroletnich badań dwóch komisji, mówi on min. o uzdrowieniu w Piasecznie księżnej Krystyny. Wydarzenie to upamiętnia obraz z 1 roku, wiszący w prezbiterium kościoła oraz fragment płaskorzeźby na drzwiach z brązu przy wejściu do kościoła pod wieżą. Pod wspomnianym obrazem znajduje się łaciński napis o treści w tłumaczeniu

Literatura:

Fankidejski J., Obrazy cudowne i miejsca w dzisiejszej dyecezyi chełmińskiej. Podług urzędowych akt kościelnych i miejscowych podań, Pelplin 1880.

Myszkowski K., Piaseczno Sanktuarium MBP Królowej Pomorza i Matki Jedności, Piaseczno 2003.

Radziwiłł A. St., Pamiętnik o dziejach w Polsce, przełożył i opracował Przyboś A. i Żelewski R., t. I – III, Warszawa 1980.

Jak to Matka Boska Piasecka pobożną Zofię z toni wiślanej wyratowała

Mniej więcej o tym samym czasie w roku 1648, kiedy Matka Boska Piasecka uzdrowiła Księżną Krystynę, córkę Stanisława Lubomirskiego, żonę Wojciecha Stanisława Radziwiłła, księcia na Ołyce i Nieświeżu, kanclerza Wielkiego księstwa litewskiego i starosty gniewskiego, stał się drugi cud.

Pewna uczciwa niewiasta Zofia Gutowska rodem z Gogolewa płynęła któregoś letniego wieczoru łódką przez Wisłę do Gniewu. Wiosłując umilała sobie czas nucąc święte piosenki. A głos miała piękny. Echo niosło go w dalekie strony, a inni mieszkańcy z zachwytem słuchali miłych im dźwięków. Każdy wtedy wiedział, że pobożna Zofia przez Wisłę się przeprawia.

Tego pamiętnego dnia wody Wisły były spokojne, Zofia płynęła powoli. Lekki wiatr rozwiewał jej płowe włosy. Nagle..., gdy była już na środku Wisły, wicher zerwał się groźny i straszliwy. W kilka chwil niebo pociemniło przeraźliwie i burza rozpętała się sroga. Łódka nieszczęsnej Zofii chwiać się na Wiśle zaczęła. Coraz mocniej, coraz mocniej...Przerażona Zofia ratunku wniebogłosy wzywała.



- Ludzie pomóżcie! Ratuunkuu!!! – krzyczała, czując, że za parę chwil wzburzone wody Wisły bezdusznie ją pochłona.

Wtem łódka Zofii przechyliła się gwałtownie i nieszczęśliwa niewiasta w toń wiślaną wpadła. Pływać nie mogła, a przy tym brzemienną była, toby bez wątpienia zaraz utonęła. Rzuciła się w rozszalałych wodach. Ale tonąc jeszcze rozpaczliwie głośno wołała:

- Matko Najświętsza Piasecko, dopomóż!!!

I oto w tejże chwili stał się cud. Przecudowna Matka Najświętsza sama stanęła przed nią. Widocznie ukazała się cała w blasku niebieskiego światła. Olśniewająca i dech zapierająca. Zofia wpatrywała się w umiłowaną postać przed sobą oczami pełnymi głębokiej nadziei. Wtedy Matka Boska Piasecka pochwyciła delikatnie za maleńki krzyżyk do różańca, który tonąca Zofia w niewielkiej, bladej dłoni gorąco ścisłała. I tak ciągnąc pobożną Zofię po wodzie, szczęśliwie aż do brzegu przywiodła i zaraz potem zniknęła.

A Zofia z Gutowskich zupełnie zdrowa, uspokojona i rozmodlona na brzegu szczęśliwa została. Dziecię bez bólu wówczas na tym brzegu jeszcze maleńkie powiła. I za opiekę Matce Boskiej Piaseckiej gorliwie dziękowała. Dziecina powita wiekopomnego dnia przez proboszcza i dziekana gniewskiego ochrzczona została.

Anna Czyżewska

Dekret wydany przez bpa kujawsko - pomorskiego Mikołaja Gniewosza (1642-1654), oparty o wyniki czteroletnich badań komisyjnych, mówi m.in. o wyratowaniu niewiasty z Goglewa z topieli w Wiśle.

W tradycji ludowej zachowało się podanie o uratowaniu przez MB tonącej w Wiśle Zofii Gutowskiej z Gogolewa, spisane przez ks. J. Fankidejskiego. Podanie oparte jest o autentyczny cud za wstawiennictwem MB Piaseckiej.

Został on potwierdzony dekretem biskupa kujawsko – pomorskiego Mikołaja Gniewosza (1642 – 1654), oparty o wyniki czteroletnich badań dwóch komisji, mówi on min. o uratowaniu tonącej Zofii Gutowskiej z Gogolewa. Wydarzenie to upamiętnia obraz z 1700 roku, wiszący w prezbiterium kościoła oraz fragment płaskorzeźby na drzwiach z brązu przy wejściu do kościoła pod wieżą. Pod wspomnianym obrazem znajduje się łaciński napis o treści w tłumaczeniu

Literatura

Fankidejski J., Obrazy cudowne i miejsca w dzisiejszej diecezji chełmskiej. Podług urzędowych akt kościelnych i miejscowych podań, Pelplin 1880.

Myszkowski K., Piaseczno Sanktuarium MBP Królowej Pomorza i Matki Jedności, Piaseczno 2003.

O wielkiej sile wiary i modlitwy

O tym, że Najświętsza Maryja Panna Piasecka ciężko chorych uzdrawia słyszano i wśród ludzi opowiadano już nie raz. Ale, że Najświętsza Panienka także i z martwych wskrzesza, tego ludzie wcześniej nie słyszeli. Do czasu, aż zdarzył się cud nad cudami...

Pewnego dnia wielka rozpacz zapanowała w szlacheckiej rodzinie Konopackich. Małe dziewczę, najmilsza córka Konopackiego od ponad siedmiu miesięcy straszliwie chorowała. Niedługo radości dzieciństwa zaznawać mogła. Ukończywszy jedenasty rok życia nieznana choroba dotknęła ciało dziewczęcia. Ojciec rady i nadziei szukał wszędzie i z żalem patrzył, gdy po powrocie do domu, widział, że jego najukochańszej córce z każdym dniem sił do życia ubywa.

- Anusiu, co Tobie? Lepiej już dziś trochę? – pytał codziennie, gdy wracał zmęczony do domu po bezowocnych próbach znalezienia jakiegoś lekarza albo lekarstwa, co jego córkę uzdrowić by mogło.

- Trochę lepiej – odpowiadała córka słabutkim głosem.

Ale on wiedział, że lepiej nie jest, że ona tylko tak mówi,

bo widzi jego zmęczenie i troskę. „Dobre dzieciątko...ach... jakie dobre” – myślał za każdym razem i łzy znowu do oczu mu napływały. Potem, gdy wieczerzę razem z żoną w milczeniu zjedli, modlić się razem zaczęli i na ich chorą Anulę co rusz spoglądali. A ona wciąż bledszą i bledszą im się zdawała. Ciężko oddychała a nawet już majaczyć zaczęła.

I nadszedł ten dzień straszliwy. Kiedy to ojciec do domu powrócił i żonę zapłakaną przy stole najpierw zobaczył. Przy łóżku Anusi stara znachorka czary jakieś odprawiała i niezrozumiałe wyrazy wygadywała.

- Odejdziecie, natychmiast Maciejowa. Córce mojej w chorobie odpocząć dajcie – wykrzyknął.

- E... To już konanie. Dziewczę wasze już nigdy biegać z innymi dziećmi nie będzie. Lepiej wy się Konopacki jeszcze z córką pożegnajcie. Bo ona do Pana Boga idzie.

Przeżegnał się Konopacki, słysząc te słowa straszne. Przykląkł przy łóżku córki i ścisnąć za rękę ją zaczął.

Po chwili dziewczę blade i wątłe do góry oczy uniosło, westchnęło głośno i rękę ojca puściło.

- W imię ojca i syna i ducha świętego. Amen – rzekła stara kobieta. – Wasza córka ducha wyzionęła.

Nic już nie powiedział Konopacki, tylko z rozpaczą dziecku swemu się przyglądał. Uwierzyć nie chciał. Stara Maciejowa zaczęła modły nad ciałem córeczki odprawiać i pieśni żałobne wyśpiewywać. Trzy godziny tak zeszło.

Wtem Konopacki wziął żonę i razem uklękli i do Najświętszej Maryji Panny Piaseckiej cali we łzach, modlić się najgorliwiej, jak mogli zaczęli.

I oto stał się cud. Anna Konopacka oczyswedeże, niebieskie otworzyła i na zapłakanych rodziców z czułością spojrzała.



Ku niesamowitemu zdumieniu i niewypowiedzianej radości obecnych podniosła się Anna i ożyła, szczerze za tak wielką łaskę dziękując Matce Najświętszej.

Anna Czyżewska

W tradycji ludowej zachowało się podanie o uzdrowieniu Anny Konopackiej spisane przez ks. J. Fankidejskiego. Podanie oparte jest o autentyczny cud za wstawiennictwem MB Piaseckiej. Został on potwierdzony dekretem biskupa kujawsko – pomorskiego Mikołaja Gniewosza (1642 – 1654), oparty o wyniki czteroletnich badań dwóch komisji, mówi on min. o uzdrowieniu Anny Konopackiej. Wydarzenie to upamiętnia obraz z 1 roku wiszący w prezbiterium kościoła oraz fragment płaskorzeźby na drzwiach z brązu przy wejściu do kościoła pod wieżą. Pod wspomnianym obrazem znajduje się łaciński napis o treści w tłumaczeniu „Anna Konopacka, lat około dwunastu, wycieńczona umarła; wówczas obecni polecili pobożnie wstawiennictwu Najświętszej Marii Dziewicy i ku zdumieniu wszystkich obecnych po trzech godzinach po swej śmierci ożyła, a przewyciężywszy śmierć złożyła dzięki swej Rodzicielce dla wieczności.” Anna była córką Jerzego IV i Anny Konarskiej. Jerzy IV był synem Jerzego III właściciela Rynkówki i dworzanina Zygmunta III, dzierżawił Klonówkę, a od 1630 roku był starostą nitawskim.

Literatura:

Fankidejski J., Obrazy cudowne i miejsca w dzisiejszej dyecezyi chełmińskiej. Podług urzędowych akt kościelnych i miejscowych podań, Pelplin 1880.

Konopacka E., Kronika rodu Konopackich z Konopat i Polkowa, Ottawa, Pelplin 1994.

Archiwum parafialne w Piasecznie.

O uzdrowieniu Ewy i Grzegorza

Wiele osób niegdyś przekonało się o cudownej, uzdrawiającej mocy Matki Boskiej Piaseckiej. Jedną z nich była Ewa Spigłowa z Rynkówki przy Czerwińsku. Szlachetna bardzo i pobożna kobieta. Jednak od wielu miesięcy nieuleczalna choroba opanowała jej ciało. Po pewnym czasie kobieta całkowicie bezwładna już była i do cna wycieńczona. Gdy ledwie, co wyjąkać kilka słów zdołała, gorliwie prosząc przed obraz Matki Boskiej Piaseckiej zanieśioną być chciała.

Jak sobie życzyła, tak czym prędzej uczyniono. Zanieśli ją do Piaseczna, gdzie wyspowiadała się najpierw przed wielbnyim kapłanem.

Wtedy Matka Najświętsza w Piasecznie kolejny raz cudu dokonała i gorących prośb o zdrowie wysłuchiwała. Ewa Spigłowa przed obrazem Najświętszej Panienki natychmiast wyzdrowiała.

Podobnie było z Grzegorzem z Dzierżążna. Dobrotliwy ten człowiek od długiego czasu sparaliżowany leżał i ani mówić już nie mógł ani chodzić. Aż któregoś dnia bliscy zanieśli go do Piaseczna i przed obrazem Matki Najświętszej postavili.



Chwilę po tym, jak Grzegorz prawie nieprzytomny ujrzał cudowne oblicze Matki Boskiej Piaseckiej zaraz wyzdrowiał. Pełen niewysłowionej radości z łóżka wyskoczył. Mówić zaczął i o własnych siłach do domu swego uszczęśliwiony i Matce Najświętszej niezmiernie wdzięczny, powrócił.

Anna Czyżewska

Dekret wydany przez bpa kujawsko - pomorskiego Mikołaja Gniewosza (1642-1654), oparty o wyniki czteroletnich badań komisyjnych, mówi m.in. o uzdrowieniu w Piasecznie Ewy Spiegłowej z Rynkówki i Grzegorza z Dzierżążna

W tradycji ludowej zachowały się podania o uzdrowieniu Ewy Spiegłowej z Rynkówki i Grzegorza z Dzierżążna spisane przez ks. J. Fankidejskiego. Podania oparte są o autentyczne cuda za wstawiennictwem MB Piaseckiej. Zostały one potwierdzone dekretem biskupa kujawsko – pomorskiego Mikołaja Gniewosza (1642 – 1654), opartym o wyniki czteroletnich badań dwóch komisji. Dekret ten mówi m.in. o uzdrowieniu Ewy Spiegłowej i Grzegorza z Dzierżążna. Ewa pochodziła z Rynkówki, która należała do Konopackich. Z tego rodu została kilka lat wcześniej uzdrowiona Anna Konopacka. Grzegorz pochodził z pobliskiego Dzierżążna. Jego uzdrowienie jest zilustrowane na sklepieniu w nawie głównej.

*Kraina
miłości i królewskich
skarbów*



O starym dębie w Dużym Wiosle

Jeszcze do niedawna sędziwi mieszkańcy gminy Gniew pamiętali i często wspominali opowieści swych dziadów i pradziadów z czasów powstania styczniowego.

Grupy partyzanckie wówczas wiele dni i nocy spędzały w lasach „Podgóry”. Oczekiwały na odpowiedni moment, aby przeprowadzić się przez Wisłę.

Miejscowa ludność dożywiała partyzantów i pomagała im przeprowadzać się przez rzekę. Ukrywający się podchodzili wąwozami na miejsce przeprow koło wsi Wielkie Wiosło i Małe Wiosło, skąd rybacy przewozili ich na drugą stronę rzeki.

Zawiażywały się wtedy znajomości, przyjaźnie a czasem nawet miłości. Miejscowe dziewczęta chętnie pomagały i pielęgnowały partyzantów. Donosiły wodę i chleb. Czasem opatrywały rany. Niejedna straciła głowę dla przystojnego partyzanta. Potem, gdy opuszczali swe kryjówki, by dalej walczyć za Wisłą, dziewczęta długo oplakiwały i zarzekały się, że to właśnie był ten jedyny. Po pewnym czasie zapominały. Wracały spokojnie do swych codziennych obowiązków.

Tak też było z piękną dziewczką o imieniu Marta, córka najstarszego we wsi rybaka. Często razem z matką i siostrą pomagała ukrywającym się partyzantom. Pewnego dnia opatrywała ranę jednemu z nich - Józefowi. Rana była bardzo głęboka, krew tryskała na wszystkie strony purpurowymi strumieniami. Marta jednak potrafiła sobie poradzić w najtrudniejszych sytuacjach.

Po krótkim czasie rana zaczęła się goić. Przestała ropieć i coraz mniej bólu sprawiała. W tym czasie partyzant coraz częściej Marty wyglądał. Dopytywał, gdy nie przychodziła z prowiantem. A gdy przyszła serce mu się od razu radowało i uśmiech piękny na twarzy się pojawiał. Lubili razem gawędzić do wieczora i oboje obawiali się dnia, w którym przyjdzie Józefowi opuścić schronienie i dalej do powstania wyruszyć.

I nadszedł ten dzień. Wieczorem ojciec Marty oznajmił w domu:

- W nocy partyzantów przez rzekę przeprowaiać będę. Przygotuj, żono droga, więcej chleba, aby na dłuższy czas im starczyło i żeby o głodzie narodowi służyć nie musieli.

Marta z przerażeniem w oczach zaraz chustkę na głowę zawiązała i do Józefa pobiegła. Noc była ciemna i chłodna. Dziewczyna krótszą drogę przez gąszcze drzew wybrała. Lasu w tej stronie nie znała zbyt dobrze. Biegła długo. Jednak nigdzie nie widziała kryjówek partyzantów. Płakała i krzyczała, lecz nikt jej nie słyszał. Nikt nie pospieszył z pomocą. Tak spędziła całą noc. Żadnej drogi znaleźć nie mogła. Ani do Józefa, ani do matczynego domu. Gdy trochę odeszła, po chwili zdawało jej się, że znów wraca w to samo miejsce. Pod stary, wielki dąb o rozłożystych i straszliwych gałęziach.



Zrozpaczoną i zmęczoną, ubrudzoną i głodną znalazł ją rano siedzącą pod starym dębem chłop Michał z Dużego Wiosła. Do domu ją odprowadził. Partyzanci już odpłynęli. Marta nie zobaczyła więcej swojego Józefa. I do końca życia wspominała nieszczęsną noc, gdy ścieżki leśne zgubiły ją i z największą miłością pożegnać się nie pozwoliły.

Stary, bardzo dostojny dąb, pod którym Marta spędziła noc pełną rozpacz i samotności, stoi do dziś.

Ludzie mawiają, że każda dziewczyna powinna w to miejsce jeszcze przed ślubem wybranka swego przyprowadzić i pod dębem noc jedną z ukochanym spędzić. Wtedy nigdy już samotna nie będzie. Zaś żadna dziewczyna nie powinna spędzać nocy sama pod dębem, bo do końca życia męża nie znajdzie.

Anna Czyżewska

Legenda nawiązuje do wydarzeń z czasów Powstania Styczniowego. W rejonie pomiędzy miejscowościami Wiosło a Półwieś następowały przerzuty ochotników z Prus do walczącego Królestwa Kongresowego. Tą drogą następował także powrót żołnierzy i uciekinierów oraz kontakty zaopatrzeniowe. Ludność miejscowa aktywnie uczestniczyła w organizacji pomocy dla powstańców a szczególnie tam, gdzie były organizowane tajne przerzuty. Dla mieszkańców było to ważne wydarzenie, które później stworzyło podstawy do licznych podań i opowiadań.

Literatura:

Milewski J., Mykaj A., Nowe nad Wisłą, Gdańsk 1966.

Bukowski A., Pomorze Gdańskie w powstaniu styczniowym, w: GZH, R V, nr 8 – 10, Gdańsk 1963.

Altana miłości

Wtym miejscu dawno, dawno temu miłość zrodziła się cudowna i wieczna. To tu kruczoczarny młodzieniec imieniem Jan po raz pierwszy zobaczył piękną, złotowłosą Katarzynę o spojrzeniu błękitnym jak wzburzone, morskie fale.

Katarzyna, o której niezwyklej urodzie mówiło się w całej okolicy każdego roku rzucała wianki do spokojnych wód rzeki Wierzycy. I męża dobrego acz urokliwego wypatrywała.

Jan zamieszkujący osadę po drugim brzegu rzeki obdarzył Katarzynę uczuciem nagłym, lecz prawdziwym i płomiennym. Czarowne dziewczę odwzajemniło jego miłość.

I tak każdego wieczoru, gdy słońce schowało się za chmury i księżyc na niebie oświecał drogę zakochanym, Katarzyna i Jan spotykali się nad rzeką.

Stała tam niegdyś stara, drewniana altana, w której to zakochani miłość na wieki sobie przysięgali i chwile pełne czułości rozkosznych spędzali.

Jednak miłość ta wspaniała ojcom kochanków się nie



podobała. Dwa odwiecznie zwaśnione rody Gniewanie i Nicponie za nic do pojednania doprowadzić nie chciały. Pewnej wietrznej i ciemnej nocy, kiedy niebo piorunami złowieszczymi się srebrzyło ludzie okrutni na miejsce miłości ogień straszny rzucili. Spłonęła altana, lecz płomień miłości żarliwszym od ognia się okazał.

Uciekających w objęciach kochanków wierne wody rzeki Wierzycy pochłoneły.

I dlatego dziś w tę Świętojańską Noc na pamiątkę gorącej miłości naszych przodków wbijamy kamień węgielny pod altanę miłości, która schronieniem dla wszystkich zakochanych niedługo tu będzie. Aby Wasza miłość zawsze tak płomienna była i wszystkie burze przetrwała.

Gniew, Anno Domini 2005

Anna Czyżewska

Legenda w pierwszej części nawiązuje do innej legendy wyjaśniającej powstanie nazw dwóch osad Gniew i Nicponia. Do sporu mieszkańców obu osad dodano część o miłości narzeczonych z Nicponi i z Gniewu, którzy spotykali się w altanie. Pomysł wybudowania nowej altany miłości zrodził się w 2005 roku. Podczas imprezy miejskiej przy mostku na Wierzycy w noc świętojańską wkopano kamień węgielny pod budowę altany wraz z tekstem legendy opracowanym przez A. Czyżewską.

Literatura:

Czyżewska A. *Legenda o altanie miłości (maszynopis)*.

Królewskie odwiedziny

pewien karczmarz z Kolonii Ostrowieckiej na podstawie przekazów twierdził, że w latach wojen napoleońskich pod dachem jego gospody nocowała królowa pruska Luiza.

Podobno około roku 1806 (1807?) późnym wieczorem do jego karczmy przybyła żona Fryderyka Wilhelma III królowa pruska Luiza (ur.1776-1810) wraz ze swymi damami dworskimi.

Luiza Pruska znana była z wielkiego patriotyzmu i niespotykanej wśród dam odwagi w podejmowaniu decyzji, co zjednało jej ogromną popularność i sławę.

O tej pamiętnej nocy karczmarz przez wiele lat, aż do śmierci swojej każdemu napotkanemu człowiekowi opowiadał. A jeśli kto się w jego karczmie na odpoczynek zatrzymał, czy chciał czy nie chciał, wysłuchać opowieści o królowej pruskiej musiał.

- Wie szanowny gość, gdzie nocować będzie? – tak zaczynał zwykle karczmarz swą gawędę.

- Wiem, w karczmie Ostrowickiej – odpowiadał przyjezdny.

- A... niezwykła to karczma. I niebywałego zaszczytu dostępuje ten, który noc spędzić tu zamierza.

- Tak...? A cóż to za zaszczyt? Karczma jak karczma. Odnówić by ją trzeba.

- Nie w tym rzecz, szanowny gościu. Jeśli chcesz, opowiem Ci ja historię, którą sam niegdyś z ust mojego dziada usłyszałem.

I tak, karczmarz nie czekając na odpowiedź, zaczął swą opowieść.

- Pewnej nocy, gdy wicher straszliwy wiał i chłód nadciągał a ostatni gość udał się już na spoczynek, u drzwi karczmy rozległo się głośnie pukanie. Ówczesny karczmarz zląkł się nieco, jednak otworzył powoli i wtedy przed sobą ujrzał kilka pięknych, eleganckich kobiet. „Księżne to albo królowe jakieś” – myśl taka przebiegła mu natychmiast po głowie. Przez chwilę zdawało mu się, że to sen, ale gdy jedna z nich odezwała się, wiedział, że tego zaszczytu dostąpił na jawie.

- Czy są u was jeszcze miejsca noclegowe? – zapytała.
– Królowa pruska Luiza, żona Fryderyka Wilhelma III, syna Fryderyka Wilhelma II Hohenzollerna przez Wisłę przepłynąć się nie zdążyła i przenocować w Waszej karczmie zamierza.

Karczmarz otworzył drzwi i wpuścił królową wraz z jej damami. Z zachwytu przez chwilę nie potrafił wypowiedzieć ani jednego słowa. Potem ugościł damy najlepiej jak potrafił i wskazał pokoje o spania. Na szczęście gości zbyt wielu w karczmie tej nocy nie było, więc damom przypadły pokoje najlepsze. Ciepłe i zadbane.

Gdy królowa wraz z damami udały się do swych pokoi, karczmarz usiadł i dobrym winem poczęstował królewskiego



woźnicę. Wtedy ten w niemieckim języku opowiadał mu o tym, jak to królowa przed tymi bestiami napoleońskimi uciekać musiała, że dotrzeć do Opalenia na czas nie zdążyła a tego wieczora przez Wisłę przeprowiać się miała.

I tak trafiła pod dach niezwyklej karczmy, w której Ty gościu dzisiejszą noc spędzać będziesz. Iście królewski to zaszczyt i doprawdy niebywały...

Takkończyłzawszeswągawędękarczmarz, odprowadzając upojonego różnorakimi trunkami przyjezdnego do „niezwykłych”, jak twierdził pokojów.

Anna Czyżewska

Legenda nawiązuje do wydarzeń z czerwca 1677 roku, kiedy to król Jan III Sobieski jednocześnie starosta gniewski wraz z żoną Marysieńką przybył do Gniewu. Będąc w Gniewie odwiedził Pelpin, udając się tam łodzią na uroczystość Bożego Ciała. Towarzyszyła mu żona Marysieńka i syn Jakub. Po dwóch dniach pobytu wrócił łodzią do Gniewu. Dnia 24.06.1677 roku na Zamku w Gniewie obchodził swoje imieniny.

Literatura:

Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, z. XX, t. XI, hasło Gniew, Warszawa 1895.

Odyniec W., Ostrowski K., Sobieski na Pomorzu, Prawda i legenda, Gdańsk 1983.

Milewski J., Szlakiem Jana Sobieskiego na ziemi kociewskiej (1657 – 1696), Starogard Gdański 1983.

Sierakowski A., Pobyt Jana III w Prusiech Królewskich w latach 1677 – 78, RTNT, R.VIII Toruń 1911.

Pałac na wzgórzu

Byla to jesień 1668 roku, kiedy hetman Sobieski po raz pierwszy przybył do Gniewu. Wizytował wówczas otrzymane rok wcześniej starostwo gniewskie. Cztery lata później przebywał na gniewskiej ziemi dłużej wraz z rodziną i ukochaną żoną Marysieńką.

Wojna się zbliżała nieuchronnie i niespokojne czasy nadchodziły. Dlatego też Sobieski do żony swej, która w czasie tym w stanie błogosławionym się znajdowała, rzekł:

- Droga moja żono. Tu w Gniewie będziecie bezpieczni. Ja o dobro ojczyzny umiłowanej walczyć iść muszę.

W połowie października Maria Kazimiera powiła córkę. Dzieciątko słabe i wątłe zmarło krótko po urodzeniu. Męki wielkie znosiła wtedy żona Sobieskiego. Ogarnięta rozpaczą, nieutulona w bólu jeszcze po starcie matki i brata Ludwika w połowie roku, już pożegnać własne dziecko musiała.

Hetman Sobieski, gdy tylko obowiązki mu pozwalały rychło spieszył do Gniewu, aby żonę w ciężkich chwilach wspierać.

W kilka lat później Maria Kazimiera wybrała się na pielgrzymkę do słynącego z cudów Piaseczna. Okryty



sławą i chwałą posąg Matki Boskiej na własne oczy ujrzeć pragnęła.

Do dziś zdoła gniewskie wzgórze zamkowe imponujący Pałac Marysieńki, który Sobieski specjalnie na życzenie małżonki wybudować kazał. Bo Maria Kazimiera w zimnej warowni pokrzyżackiej mieszkać nie chciała.

- Żono moja miła, kosztowna te starania i na nic mnie się nie przydadzą teraz. Lecz dla zadowolenia Twego gotów jestem każdą prośbę Twą spełnić – mawiał Sobieski do żony.
- Nie będę zatem budowie nowego domu na wzgórzu się sprzeciwiał.

Maria Kazimiera szczególnie sobie umiłowała pałac na wzgórzu w Gniewie. I często w swej rezydencji miłe chwile spędzała, cierpliwie na Jana III Sobieskiego czekając.

Anna Czyżewska

Legenda nawiązuje do czasów kiedy w latach 1667 – 1696 starostą gniewskim był Jan Sobieski, hetman a później król Polski. Sobieski dbał o swoje starostwo. Na życzenie Marii Kazimierzy w latach siedemdziesiątych XVII wieku rozpoczęto budowę pałacu. Sobieski wprawdzie wyrażał swoje niezadowolenie z budowy pałacu ze względu na koszty, ale spełnienie prośby żony było ważniejsze. Budowę ukończono w 1678 roku.

Literatura

Sobieski J., Listy do Marysieńki, oprac.L. Kukulski, Warszawa 1973.

Odyniec W., Ostrowski K., Sobieski na Pomorzu, Prawda i legenda, Gdańsk 1983.

Milewski J., Szlakiem Jana Sobieskiego na ziemi kociewskiej (1657 – 1696), Starogard Gdański 1983.

Królewscy muzykanci

Niegdyś za czasów króla Jana II Sobieskiego, gdy ten wielkim i szanownym starostą gniewskim był, w Gniewie istniała grupa wesołych muzyków. Podczas mszy świętych w kościele gniewskim piękne melodie i pieśni wygrywali, aż wszyscy się dziwili ich talentom niezwykłym.

Król Jan III bardzo upodobał sobie gniewskich muzykantów. Nasłuchać się ich nie mógł i podziwu niesłychanego nad ich zdolnościami nie krył.

Nie raz zapraszał muzyków na biesiady zamkowe, aby zabawę znamienitym gościom rytmami swymi uświetniali. I weselił się wtedy szczerze. Tańczył i śpiewał z Marysieńką do białego rana.

A muzycy w kolorowych spodniach, kamizelach i czapkach ze wszystkich sił i jak najpiękniej dla króla umiłowanego starali się grać. Raz wesoło, wartko, to znowu ciszej i subtelniej. Aż król i goście całkowicie ukontentowani się czuli.

Opieką szczerą obdarzył Sobieski gniewską kapelę. Świadczy o tym przywilej królewski nadany przez Jana III



Sobieskiego muzykantom z Gniewu, wystawiony w dniu 10 listopada 1668 roku przez hetmana wielkiego koronnego, a potwierdzony 21 lat później przez króla, dający muzykom gniewskim bardzo duże uprawnienia. Otrzymali oni wówczas prawo wyłącznego koncertowania w kościołach Gniewu, na weselach i zabawach gniewskich.

Ludzie mawiali, iż król tak Kapelę Gniewską umiłował, że nawet na weseliska chodził, aby ich śpiewu radosnego posłuchać. I tańczył wtedy, trunki z gniewiakami popijał i śpiewał głośno i wesoło aż się miło ludziskom w sercach robiło.

Muzycy gniewscy za królem Sobieskim w ogień by wtedy poszli. I grać zawsze dla niego ochotę mieli. Bo szczodry był i dobry.

Dziś w Gniewie na pamiątkę dawnych czasów istnieje Królewska Kapela Gniewska. I występy tych muzyków niemniejszym uznaniem podczas ludowych zabaw się cieszą.

Anna Czyżewska

Fragment królewskiego przywileju

Oznaymujemy tym listem naszym wszem w Obec każdemu z osobna, komu to wiedzieć należy. Produkowany był przed nami list autentyczny y przed szczęśliwą Elekcją y panowaniem naszym komu dnia 10 Novembra Roku 1668 muzykom przy kościele będącym nadany, ręką naszą podpisany y pieczęcią zatwierdzony.(...) Wszem wobec y każdemu z osobna komu o tym wiedzieć należy (...), że w Gniewie przy kościele Farskim za staraniem Wielebnego Księdza dziekana terażniejszego y z fundacji tey naszej Muzyci mieszkają, którzy służby Boskey według powinności Swoiey pilnując tak w Niedzielę jak y w Święta inni śpiewając a drudzy na Instrumentach grając dosyć z siebie czynią, mając my tedy wzgląd na porządek taki y szczególną im pokazać łaskę naszą, stanowimy, aby z cudzych muzyków, którzy przy pomienionym znajdują kościele w Starostwie naszym Gniewskim, tak Mieście naszym iako y na Holendrach, tak na weselach iako y na chrzcinach, tak na odpustach iako y na jarmarkach bez wiadomości y ugody z pomienionymi Muzykami Gniewskimi aby żadeden grac ważyć się nieśmiał.(...)

Dan w Warszawie dnia XII miesiąca Marca, Roku Pańskiego MDCLXXXIX,
Panowania naszego XV Roku.

Jan Król

Legenda nawiązuje do autentycznego wydarzenia z drugiej połowy XVII w. tj. do okresu, kiedy Jan Sobieski był starostą gniewskim. Jan Sobieski hetman i starosta gniewski nadał dnia 10 listopada 1668 roku przywilej dla kapeli farnej z Gniewu. Następnie dnia 12 marca 1689 na wniosek muzyków gniewskich ów dokument potwierdził już jako król Polski. Jan III Sobieski przebywał w Gniewie m.in. w czerwcu 1677 roku a dnia 24 czerwca na Zamku w Gniewie obchodził swoje imieniny. Wtedy prawdopodobnie grała dla niego kapela gniewska. Na pamiątkę tego wydarzenia każdego roku w dniu 24 czerwca muzykanci z Gniewu grają pod domami wszystkich Janów z Gniewu i okolicy. Po bardzo długim okresie przerwy kapelę ponownie powołano do życia dnia 24 czerwca 2005 roku.

Literatura:

Mross H., Dzieje parafii Gniew od XIII w. do 1939 roku, Gniew 1997. Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, z. XX, t. XI, hasło Gniew, Warszawa 1895.

Leszczynowy skarb

Dawno, dawno temu w Jażwiskach występowały „żyły najczystsze srebro”. Odkrywcą tego tajemnego skarbu był niejaki Rzączyński. Twierdził on, że w glebie w Jażwiskach można znaleźć prawdziwe srebro.

A było to, jak głosi legenda, tak...

Rzączyński jak co dzień, wybrał się samotnie na leśną, poranną przechadzkę wokół Złotej Góry.

Idąc ścieżką przy strumyku Dziewczą Dziurą zwanym, potknął się niechybnie o leżącą na ścieżce dużą kłodę. Rzączyński przewrócił się i biadolił.

- Psia krew... Co dzień tu chodzę, a dziś kłodę pod nogami znalazłem! Oj... moja noga, moje kolano... Do zimy zagoić się nie zdąży.

Rzączyńskiego znali ludziska z narzekania i wymyślania niestworzonych opowieści. Jednak tym razem Rzączyński nie był w nastroju, aby wypadek swój ubarwiać. Podniósł się i do domu chciał wracać, gdy nagle... ujrzał pod kłodą coś maleńkiego i świecącego.

- A co to? – rzekł zdziwiony Rzączyński – Kryształ jakie, czy co...? – mówił, zbliżając się powoli.

Podszedł bliżej, dotknął świetlistych granulek. Wziął to ręki i pod słońce zaczął się znaleźć przyglądać.

- O Panienko Najświętsza... - szepnął Rzączyński. – Toć to chyba żywe srebro. Skarb zesłałaś mi Panienko...

Rzączyński zaczął zgarniać błyszczące „kryształki”. Rozglądał się, czy czasem ktoś nieproszony się nie zbliża i skarbu z rąk mu nie wyrwie. Gdy zebrał już, ile się tylko dało, postanowił jeszcze nazrywać kilka gałązek z drzew, aby dom ogrzać. Zerwał rosnącą w pobliżu leszczyne i uradowany udał się do domu.

W chacie nikomu o swym odkryciu nie opowiadał, bo pomyślał, że dziwakiem nazywać go będą a potem ludzie po wsi bogactwa przyszłego zazdrościć mu zaczną.

Zabrał się do rozpalania ognia i wtem... gdy wkładał do pieca i zaczynał spalać przyniesioną z lasu leszczyne zauważył „kruszec pięknie błyszczący”.

- Czy ja dziś zwidy jakie miewam, czy co? – zapytywał sam siebie, ocierając krople potu z czoła. Oczy przecierał i coraz bardziej wytrzeszczał. Nie mógł uwierzyć w to, co znów zobaczył.

- Toć to złoto chyba. Najszczęsne złoto. Złociusieńkie... - szeptał.

- A co Ty chłopie, tak długo ten ogień rozpalasz? – krzyknęła nagle jego żona.

Rzączyński przestraszył się, wzdrygnął i... „znalezione złoto” z ręki mu się wysypało.

- A co Ty tam masz? – pytała żona.

- Nic kobieto... Nic – odparł.

- Jak to nic, jak widzę, że coś tam ukrywasz!

- No...widzisz, bo ja dziś... skarby, co rusz to jakieś znajduję – powiedział po cichu.



- Co Ty mówisz? Jakie skarby? Mów rychło, bo może bogactwo nam się szykuje – popędzała go kobieta, której już w głowie roić się zaczęły marzenia o pięknych sukniach, karetach i balach.

Rzeczyński usiadł przy stole, westchnął i kolejny raz pot z czoła otarł. Potem opowiedział żonie, o tym co rano w lesie go spotkało. Pokazał kieszenie pełne świetlistego, mieniącego się kruszczu i leszczyne, która złotem sypała. Kobieta aż poczerwieniała.

- Wiedziałam, że ja długo w biedzie żyć nie będę – powtarzała uszczęśliwiona i rozgorączkowana.

– Co my zrobimy z tym bogactwem, powiedz no... - pytał Rzeczyński.

- Już moja w tym głowa – oparła kobieta.

Rzeczyński jednak mieszane uczucia miewał. Z radości wielkiej w strach i przerażenie popadał. Do lasu chodził i przez kilka dni następnych skarbów szukał. Nic jednak nie znalazł. Pewnego dnia nie wytrzymał i znaleziony kruszec księdzu proboszczowi Mąkowskiemu w Piasecznie pokazał. Ksiądz też nadziwić się nie mógł. Własnym oczom wierzyć nie chciał. Podziwu dla odkrycia Rzeczyńskiego nie ukrywał. Po pewnym czasie, gdy na piasecką plebanię przybył starosta razem z wojewodą pomorskim Janem Gniskim (1694-1703) proboszcz pochwalił się znaleziskiem.

I tak Jaźwiska i nazwisko odkrywcy Rzeczyńskiego słynne stały się w całej okolicy. Z różnych stron zjeżdżali się ludziska i skarbów w całym lesie poszukiwali.

Nie raz zdarzyło się, że któryś kruszec złocisty pod leszczyną znalazł... Szczególnie na Górze Złotej czysty kruszec znajdowano.

A może by tak dziś wybrać się do Jaźwisk w poszukiwaniu

Na zachód od wsi Jażwiska przy drodze do osady Rzym znajduje się wolnostojące wzniesienie, które można obejść dookoła. Nosi ono nazwę Złota Góra. Obok tej góry płynie strumyk o nazwie Dziewcza Dziura. Te charakterystyczne nazwy mogą nawiązywać do tradycji pogańskiej tego miejsca, gdzie kiedyś odprawiano obrzędy i składano dary ofiarne. W czasach chrześcijańskich miejscowa ludność mogła faktycznie znajdować tam pozostałości darów, które kiedyś tam składano. Stąd tradycja o złocie, srebrze i skarbach.

Literatura:

Milewski J., Opalenie i okolice, Gdańsk 1988.

Klonowic S., Flis to jest spuszczenie statków Wisłą i innymi rzekami do niej przylegającymi, opracował Hrabec S., Wrocław 1951.

Badziong B., Miejsca kultu pogańskiego w rejonie dolnej Wierzycy (maszynopis), Gdańsk 1986.

Literatura

1. Badziong B., Miejsca kultu pogańskiego w rejonie dolnej Wierzycy (maszynopis), Gdańsk 1986 r.
2. Białkowski A. Pamiętniki starego żołnierza, (1806 – 1804), Warszawa 1903 r.
3. Biernacki F., Milewski ., Bedeker kociewski, Gdańsk 1986 r.
4. Bugalska H., Toponima byłych powiatów gdańskiego i tczewskiego, Gdańsk 1985r.
5. Bruski K., Jan z Jani, w: Ludzie pomorskiego średniowiecza, Szkice biograficzne, Seria popularnonaukowa „Pomorze Gdańskie”, Nr 13, Gdańsk 1981 r.
6. Ceynowa J., Dobro zwycięża, Gdańsk 1985 r.
7. Chełmecki T., Krótki zarys historii miasta Gniewu, Gniew 1933 r.
8. Frydrychowicz R., Podania ludowe na Pomorzu z czasów wojen napoleońskich, Pelplin 1922 r.
9. Frydrychowicz R., O sobótce, czyli o tzw. ogniach świętojańskich, Poznań 1877r.
10. Frydrychowicz R., Żywot św. Wojciecha i niektóre wiadomości o jego pobycie w diecezji chełmińskiej, wydany w 1897 roku w Pelplinie ze współczesnym wstępem komentarzem i posłowiem G. Labudy Pelplin 1998 r.
11. Fankidejski J., Obrazy cudowne i miejsca w dzisiejszej diecezji chełmińskiej, Podług urzędowych akt kościelnych i miejscowych podań, Pelplin 1880 r.
12. Gołąbek S., Kociewie, przewodnik po szlakach turystycznych, Warszawa 1984r.
13. Groszkowski A., Z przeszłości parafii Nowa Cerkiew

(maszynopis).

14.Grzyb A., Landowski R., Legendy kociewskie, Gdynia 2004 r.

15.Historia Pomorza T. II, do roku 1815 od red. G. Labudy, Poznań 1984 r.

16.Jerkiewicz K. Legendy i opowiadania Skórcza i okolic, Skórcz (bez daty).

17.Klonowiec S.F., Flis to jest spuszczenie statków Wisłą i innymi rzekami do niej przylegającymi, opracował Hrabec S., Wrocław 1951r.

18.Konopacka E., Kronika rodu Konopackich z Konopat i Polkowa, Ottawa, Pelplin 1994 r.

19.Landowski R. Nowy bedeker kociewski, Gdańsk 2002 r.

20.Libiszewski L., Dzierżążno, Gdańsk 1985 r.

21.Lietz K., Nowe nad Wisłą i okolice, Pieniążkowo 1938 r.

22.Łęga Wł., Okolice Świecia, materiały etnograficzne, Gdańsk 1960r.

23.Łęga Wł., Legendy Pomorza, Gdynia 1958 r.

24.Mańkowski A., Kronika walichnowska (1703 – 1725), ZTNT, T. VIII, Nr 3 – 6, 1930 r.

25.Malicki L., Kociewski rok obrzędowy, „Pomerania” R. 13, 1970 r., nr 5, s. 36-39.

26.Milewski J., „Pojezierze kociewskie i okolice”, Gdańsk 1984 r.

27.Milewski J., Pozostałości wierzeń pogańskich na ziemi kociewskiej, „Jantarowe Szlaki”, 1985, nr 3, s. 56-57.

28.Milewski J., Opalenie i okolice, Gdańsk 1988 r.

29.Milewski J., Szlakiem Jana Sobieskiego po ziemi

- kociewskiej (1657 – 1696), Starogard Gdański 1983 r.
30. Milewski J. Mykaj A., Nowe nad Wisłą, Gdańsk 1966 r.
31. Mross H., Dzieje parafii Gniew od XIII w. do 1939 roku, Gniew 1997 r.
32. Myszkowski K., Piaseczno Sanktuarium MBP Królowej Pomorza i Matki Jedności, Piaseczno 2003 r.
33. Odyniec W., Ostrowski K., Sobieski na Pomorzu, Prawda i legenda, Gdańsk 1983 r.
34. Orłowicz M., „Przewodnik powojewództwie pomorskim”, Lwów – Warszawa 1924 r.
35. Radziwiłł A. St., Pamiętnik o dziejach w Polsce, przełożył i opracował Przyboś A. i Żelewski R., t. I – III, Warszawa 1980 r.
36. Regliński R., A., Legendy Borów Tucholskich, Gdynia 2001 r.
37. Skonka Cz., Śladami Jana Sobieskiego, Gdańsk 1998 r.
38. Sikora A., Osobliwości i zabytki przyrody województwa gdańskiego, Gdańsk 1978 r.
39. Skotnicka G., Okociewskich bajkach, baśniach, legendach i podaniach, w: „Kociewski Magazyn Regionalny, nr 15 1996 r., s. 12 – 15.
40. Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, z. XX, t. XI, hasło Gniew, Warszawa 1895 r.
41. Słownik geograficzny państwa polskiego i innych ziem historycznie z Polską związanych pod red S. Arnolda, T. Pomorze – Prusy, Warszawa 1936 r.
42. Sobieski J., Listy do Marysieńki, oprac. L. Kukulski, Warszawa 1973 r.
43. Solecki A., Gniew nad Wisłą, Gniew 1993.
44. Stelmachowska B., Rok obrzędowy na Pomorzu, Toruń

1933 r.

45.Staszewski J., Mały słownik, Pochodzenie i znaczenie nazw geograficznych”, Warszawa 1968 r.

46.Sychta B., Słownictwo kociewskie na tle kultury ludowej, tom I-III, Warszawa –Wrocław - Gdańsk 1980 - 1985 r.

47.Śliwiński B., Dzieje miasta Gniewu do 1939 roku, Gniew 1998 r.

Spis treści



